

ŚWIAT

Z TRYBUNY NA BŁONIACH KRAKOWSKICH PREZYDENT
BIERUT POWIEDZIAŁ: „SILNY JEDNOŚCIĄ MAS PRACU-
JĄCYCH NARÓD POLSKI OSIĄGNIĘ SWE ZADANIE HISTO-
RYCZNE, URZECZYWISTNI SWE PLANY GOSPODARCZE, ZBU-
DUJE NOWY, LEPSZY I SPRAWIEDLIWY USTRÓJ SPOŁECZNY
— SOCJALIZM” ZGROMADZONA TAM STUTYSIĘCZNA
RZESZA CHŁOPÓW, JAK I TEN MŁODY JEJ PRZEDSTA-
WICIEL, SŁOWA TE PRZYJĘŁ Z WIELKIM ENTUZJAZMEM
Fot. „Świat” K. Jarochowski



PROGRAM ZWYCIĘSKIEGO JUTRA

CZYTAŁEŚ? Proste i jasne myśli tętniące umiłowaniem Ojczyzny, zawarte w programie walki o Jej wielkość, szczęście i siłę.

Czytałeś? W każdym zdaniu, w każdym słowie jest cząstka twoich pragnień i twoich marzeń. I odczułeś na pewno, że to są twoje słowa, twój program, że w walce o jego wcielenie w życie nie może zabraknąć cię, twojego wysiłku, twojej ofiarnej, wytężonej pracy.

Czytałeś, a serce waliło ci młotem ze wzruszenia. Bo jakże inaczej można było czytać bilans naszych osiągnięć i program zwycięskiego jutra. Odkrywałeś w słowach Programu Wyborczego Frontu Narodowego prawdę o wielkości naszych dni, prawdę o roli i zadaniach naszego pokolenia, które „znalazło w sobie odwagę, aby podjąć dzieło trudne, lecz niezbędne: odrobienia w ciągu niewielu lat ogromnego zacofania...” I na pewno poczułeś przypływ dumy, że i tobie dane jest zaszczytne prawo być żołnierzem wspólnej sprawy, wspólnej walki.

Czytałeś Program Wyborczy z perspektywy 8 lat Polski Ludowej, z perspektywy niemal trzech lat walki o Plan Sześcioletni. I za każdym słowem widziałeś przebytą przez kraj i naród drogę do dnia dzisiejszego. Widziałeś trudną drogę wytyczoną słowami Manifestu Lipcowego, który ty też wcielałeś w życie. Widziałeś rusztowania w setkach miast i setkach fabryk, dźwiganych z ruin. Widziałeś drogę od ruin Marszałkowskiej do piękna Placu Konstytucji, drogę od bagna i nędzy podkrakowskich wiosek do rozmachu i wielkości Nowej Huty. Czytałeś słowa Programu Wyborczego, a widziałeś czyny i osiągnięcia narodu, opierające się na tym: „ze względu na wyzwolenie naszego kraju przez Armię Radziecką i walczące u jej boku Wojsko Polskie — klasa robotnicza pod przewodnictwem Polskiej Partii Robotniczej, w sojuszu z masami chłopów pracujących, wzięła władzę w ręce i przezwyciężając wiekowe zacofanie kraju, podjęła wielkie dzieło budowy socjalizmu w Polsce...”

Oto podstawa naszych sukcesów, oto gwarancja, że każde słowo, każda zapowiedź zawarta w Programie Wyborczym Frontu Narodowego przekuta zostanie w czyn. A zapowiedzi te są porywające, oszałamiające swym rozmachem, wzruszają głęboką, serdeczną troską o szczęście każdego z nas.

To nieprawda, że przyszłość jest tajemnicą niedostępną dla człowieka. Nam, obywatelom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, nam, budowniczym socjalistycznego jutra Ojczyzny, dane jest widzieć tę przyszłość. To my rządząmy przyszłością. I jeżeli czytamy w Programie Wyborczym: „Wykonanie wielkich planów narodowych bieżącego dziesięciolecia uczyni Polskę krajem potężnego, nowoczesnego przemysłu, krajem rozwijającego się, postępowego rolnictwa, krajem wysokiej kultury, jednym z przodujących krajów Europy” — to wiemy, że nie są to czcze słowa, ale realny, bojowy plan zadań, które cały naród chce i potrafi pod kierownictwem swego ludowego rządu i Sejmu zrealizować.

Nasza przyszłość — to setki i tysiące nowych zakładów przemysłowych, to 10-krotny wzrost produkcji w roku 1960 w porównaniu z poziomem produkcji przed wojną. Nasza przyszłość — ta najbliższa, zamknięta rokiem 1960 — to przekształcenie ojczyzny w kraj uprzemysłowiony, zelektryfikowany, w kraj ludzi podporządkowujących sobie technikę i przyrodę. Nasza przyszłość — to budowa nowych miast i osiedli, to ostateczne wyrwanie wsi z zacofania, to co najmniej 7-letnie wykształcenie dla wszystkich dzieci. Nasza przyszłość — to Polska socjalistyczna, to Polska, o której pisał w latach sanacyjnej nędzy poeta-komunista, Edward Szymański:

...Wstanie szkarłatne słońce po ciężkiej burzliwej nocy
i nikt nie będzie bezdomny, szczuty jak pies — i głodny.
Zahuczą wszystkie maszyny, z kominów w niebo dym strzeli,
nasze będą fabryki, domy i słońce i ziemia.
Chlebem i szczęściem — nie złotem — wszyscy będziemy się dzielić.
Towarzysze!

Nadchodzi dzień przemian!

Z walki naszego narodu, z walki jego przodującej siły — klasy robotniczej narodził się ów dzień przemian. Z walki tych, co ginęli na stokach Cytadeli, w kazamatkach, na barykadach rewolucji, w sanacyjnych katowniach, w pierwszej linii zmagania z hitlerowskim okupantem, z walki tych, co głosili, że „z trudu naszego i znoju Polska powstanie, by żyć”, z walki o niepodległość narodową i wyzwolenie społeczne. Ta walka uutorowała nam drogę w przyszłość, oddała ludowi polskiemu fabryki, domy, słońce i ziemię, aby mógł rządzić Ojczyznę ku jej chwale i wielkości.

Nikt i nigdy nie zapomni, jak trudna była ta droga i nikt nigdy nie przymknie oczu na to, ile przed nami piętrzy się jeszcze trudności. Ale my jesteśmy tym pokoleniem, które nauczyło się trudności łamać i przezwyciężać. Rzucono nam pod nogi niejedną kłodę, stawiano nam na drodze ku socjalistycznej przyszłości mikołajczykowski zawał drogi, bandytów strzelających zza węgla. Ale „wokół władzy ludowej, w walce przeciwko wyzyskiwaczom, przeciwko wrogim Polsce siłom imperializmu i ich agentom rozwijała się i wzmacniała jedność działania patriotycznych i postępowych sił narodu”. I ta jedność działania, to skupienie się najszerzych mas narodu wokół władzy ludowej, zadecydowały o historycznym i nieodwracalnym zwycięstwie nad siłami reakcji.

Nie przymykamy jednak oczu na fakt, że — jak głosi Program Frontu Narodowego: „nasze budownictwo rozwija się w obliczu nieustającego zagrożenia pokoju przez imperialistów amerykańskich oraz ich wasali zachodni Niemiec i innych”. Wprost przeciwnie — pilnie i czujnie śledzimy zbrodnicze poczynania wrogów ludzkości i przeciwstawiamy im nasz ustokrotniony wysiłek nad wzmocnieniem obronności i potęgi Ojczyzny. I pewność jutra

Dokończenie na str. 22

Z WIEŃCEM



W STAROPOLSKIM TAŃCU „CHODZONYM”, W LUDOWYM POLONEZIE,



Godła państwowe z kłosów pszenicy.



Zawody sportowe, rozgrywane przez LZS.

DOŻYŃKOWYM W KRAKOWIE



WZIĘŁY UDZIAŁ WSZYSTKIE ZESPOŁY ZSCh.



TANČZĄC PRZEWIJAŁ SIĘ PRZED TRYBUNĄ KOROWÓD LUDOWYCH ZESPOŁÓW ARTYSTYCZNYCH



jak widać z twarzy widzów, dostarczyły im wiele emocji

TEGO dnia Kraków przepelniony był ludźmi. Nie tylko na drodze ku Błoniom, ale również na bocznych ulicach przelewały się barwne tłumy chłopów, przybyłych na ogólnokrajowe dożynki ze wszystkich stron Polski. Z dala już widać było słomkowe i czarne, filcowe kapelusze, opasane jaskrawymi wstążkami, wysokie czapy lubelskie, rogatywki z pawimi piórami, kapelusze góralskie obszyte muszelkami, śląskie koronkowe czepeczki kobiet i chusty, tkane lub malowane we wzorzyste kwiaty.

Tłum niepowstrzymaną falą parł naprzód, ale poruszał się coraz wolniej, gdyż Błonie Krakowskie zapelnione już były do ostatniego miejsca. Docisnęliśmy się w ich pobliże, gdy (a wiedzieliśmy to tylko z głośników), Prezydent odbierał meldunek od chłopca podhalańskiego z Szafłar, Chudoby. „Zakończyliśmy jeszcze jeden pokojowy bój o urodzaje — powiedział on — w którym chłopów wspomagali bracia robotnicy, wspomagała władza ludowa. Ten rok nie był łatwy, trzeba było uporczywej pracy, aby nie dopuścić do strat. Zeszłego roku na dożynkach w Poznaniu przyrzekliśmy podnieść produkcję, a dzisiaj możemy złożyć meldunek ukochanej Ojczyźnie naszej i Tobie, drogi Obywatelu Prezydencie, żeśmy zwiększyli urodzaje przeciętnie o 1 kwintal z hektara”.

Zerwały się oklaski, zagłuszyły wszystko, głos radiowego speakera ledwie był teraz słyszalny, lecz za chwilę zapadła cisza tak zupełna, że dało się słyszeć oddechy. Głos zabrał Gospodarz Dożynek, Prezydent Bierut, i tłum zamarł w skupionej uwadze, przestał się poruszać, falować. Jasne i proste słowa Prezydenta, rozniesione przez megafony, wypełniły wszystkie ulice Krakowa: „...cały nasz naród polski — mówił Prezydent Bierut — jest dziś zespólny gorącym pragnieniem pomnażania swą pracą wspólnych plonów, to znaczy sił, bogactw, dobrobytu, wielkości i potęgi naszej zjednoczonej i umiłowanej Ojczyzny, Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

Zanim przeminęła burzliwa owacja na cześć sojuszu robotniczo-chłopskiego, na cześć Prezydenta, zaraz po jego przemówieniu, zaczęliśmy (tym razem na czele tłumy), płynąć w stronę Barbakanu, gdzie pobudowano trybuny. Krakowianie gęsto ustawili się wzdłuż ulic Manifestu Lipcowego i 1-go Maja, niecierpliwie oczekując nadejścia Prezydenta, przedstawicieli Rządu i Partii.

Czekać nie trzeba było długo. Prezydenta powitał skandowany okrzyk wielotysięcznego tłumu: „Bierut. Bierut!” Zaraz i rozwinęło się czoło pochodu wiodące za sobą stutysięczną rzeszę chłopów, przodowników naszej wsi. Zamigotały w oczach ludowe stroje, wieniec dożynekowe, czerwone i zielone sztandary, portrety Stalina, Bieruta, Marszałka Rokossowskiego i nauczycieli agrotechniki — Miczurina i Łysenki. Szły sportowe zespoły ludowe niosące transparenty z napisem: „W naszym plonie sportowym niesiemy wsi nowe boiska”. Szły kolejno wszystkie województwa: wrocławskie, pomorskie, olsztyńskie, łódzkie...

Z szeregów województwa opolskiego wyrwała się młoda chłopka i przed trybuną rzuciła Prezydentowi wiązanek kwiatów.

— Niech żyje nasz ociec! — krzyknęła i zaraz pobiegła do szeregów. Tu uszczęśliwiona rzuciła się na szyję wasatego starosty, który z tradycyjną powagą kroczył obok wielkiego wienca z kłosów pszenicy.

— Widziałam, widziałam Prezydenta — mówiła zdyszana — rzuciłam mu kwiaty, a on uśmiechnął się i dziękował...

— No i cóż — nie zdziwił się starosta — nie nasz on? Przecież z chłopów.

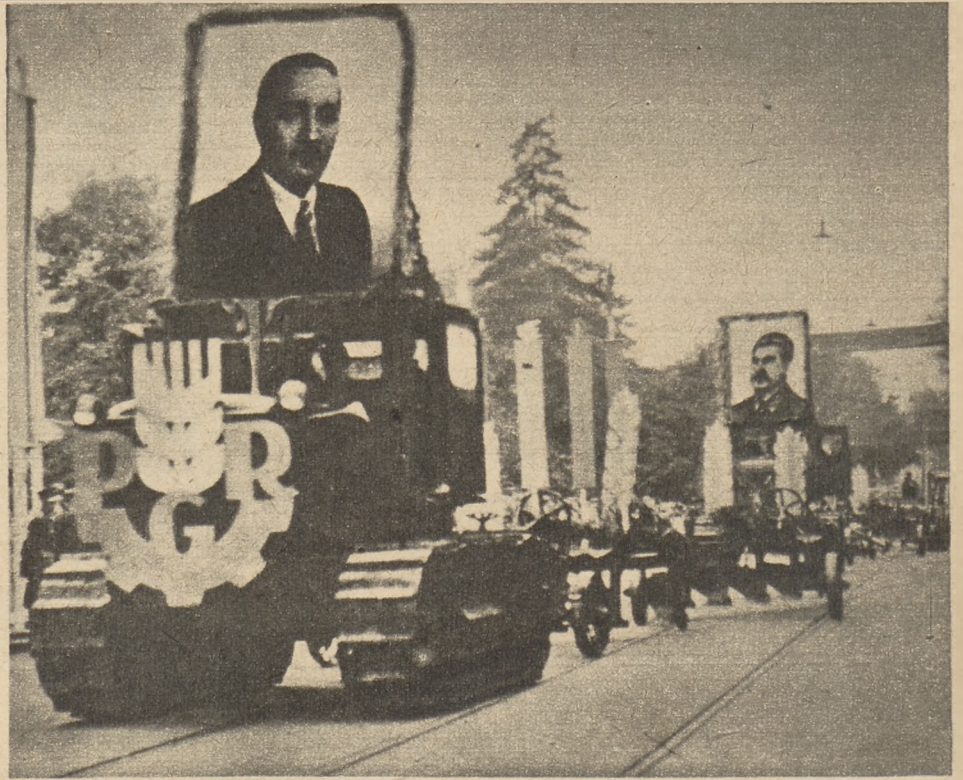
Podobne sceny powtarzały się często, a przed trybuną rósł stos kwiatów chłopskich, zerwanych w ogród-

Dokończenie na str. 22

Z WIĘNCEM DOŻYNKOWYM W KRAKOWIE



W imieniu dzieci chłopskich złożyła życzenia Prezydentowi Teresa Kastelik z Prokocimia i jednocześnie ślubowała: „Będziemy się uczyć ze wszystkich sił”.



Nową kulturę rolną zaprowadzają na wsi POM-y i PGR-y. Używając do uprawy roli nowoczesnych maszyn, wskazują drogę, po której ma kroczyć cała wieś polska



Jeziora stają się terenem coraz obfitszych połowów. Rybacy z Warmii i Mazur zaprezentowali na Dożynkach swój dotychczasowy dorobek i plany na przyszłość



Oto plon pracy młodych zespołów ogrodniczych i Kół Mieczysławskich przy PGR: kosze pełne wspaniałych owoców — grusz, jabłek, śliwek, winogron i pomidorów



Wielką defiladę dożynkową zamknęła banderia Krakusów. Wśród nich byli potomkowie kosynierów Tadeusza Kościuszki, żołnierzy walczących o prawa dla ludu



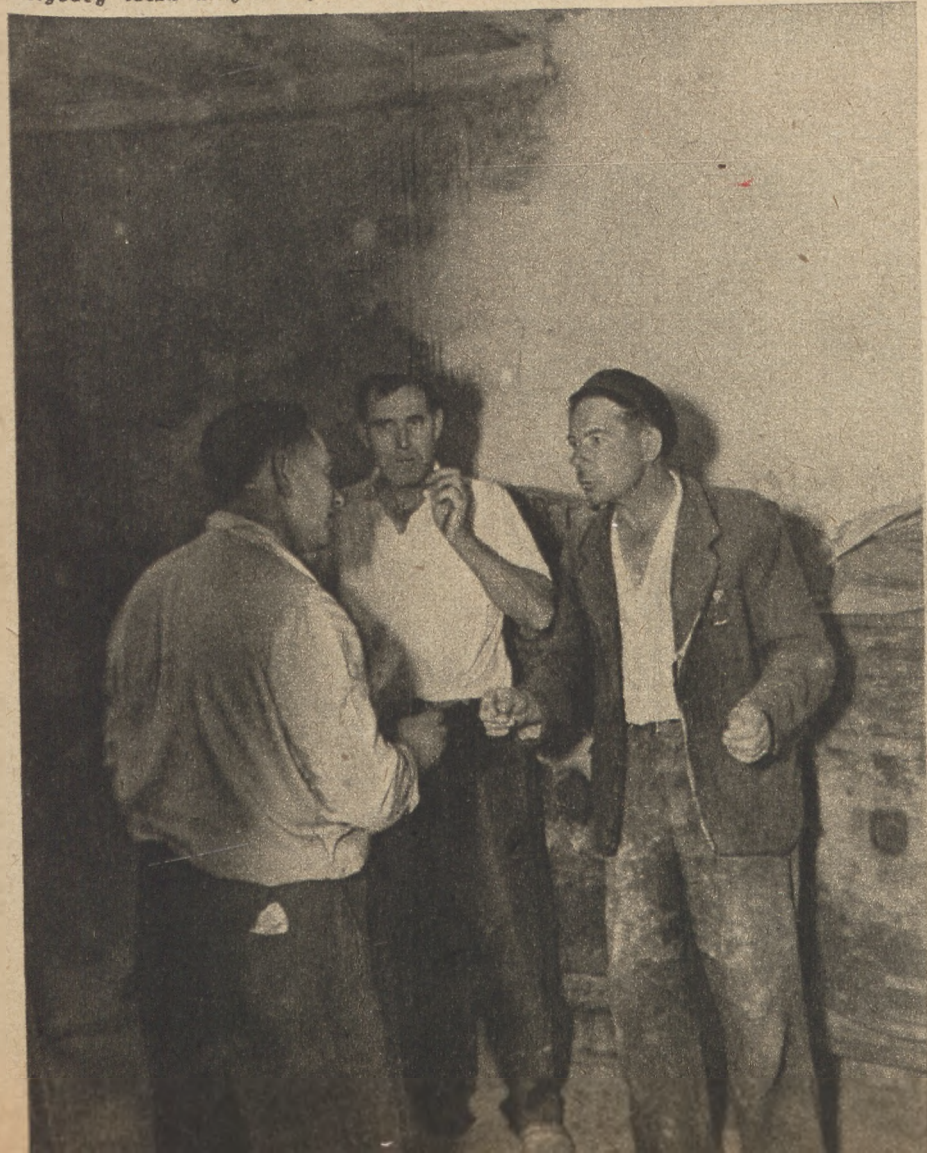
Nie można oderwać wzroku. Wystrzelone przez rakiety spływają majestatycznie na spadochronach czerwone i czerwono-białe sztandary oraz portrety Stalina i Bieruta

Fot.: K. JAROCHOWSKI



CARSC KREWETEK CZY SARDYNEK — OTO CAŁODZIENNY POŁÓW. NA KAŻDEGO RYBAKA WYPADA JUŻ TYLKO PO PARĘ CENTIMOS.

Rybacy toczą długie, ożywione dyskusje — gdy nikogo nie ma w pobliżu..



RIANJO— HISZPAŃSKA WIEŚ

Fotoreportaż własny „Świata”

Zdjęcia: LEONTI PLANSKOY

WSZELKIE PRAWA REPRODUKCJI ZASTRZEŻONE

WIEŚ leży na północno - zachodnim wybrzeżu Hiszpanii, w prowincji Galicia, tuż nad portugalską granicą. Nazywa się Rianjo i liczy dwa tysiące mieszkańców. Jest typową osadą rybacką. Jak w dziesiątkach takich samych osad Hiszpanii zwyczajem, metody pracy i warunki życia przypominają zamierzchłe czasy średniowiecza.

Rozklekotany autobus dwa razy w tygodniu kursuje między Rianjo a najbliższym miasteczkiem, odległym o 45 kilometrów. Poza tym jedyny łącznik osady ze światem zewnętrznym stanowią łodzie rybackie. Wodę czerpie się

ze zmurszałych studzien, których jest za mało. Bieliznę pierze się w strumyku.

O urządzeniach sanitarnych nikt tu nigdy nie słyszał. Uliczki osady zalatują więc nie tylko fetorem gnijących ryb i świńskiej gnojówki... A jednak mieszkańcy są niezwykle czysti, choć przyodziani w lachmany. Większość kobiet chodzi zawsze boso.

Jak we wszystkich wsiach hiszpańskich panuje tu od lat rozpaczliwa bie-

Balszy ciąg na str. 6



Erminia Figueria y Ordóñez miała tylko cztery latka. Nikt nie wie na co umarła, na co chorowała. Wieś nigdy nie widziała lekarza. Trumienka spoczywa na łóżku, w ciasnej

Balszy ciąg ze str. 5

da. W tym roku jeszcze bardziej dała się we znaki. Ryb jest bardzo mało, z roku na rok mniej. Mówią, że wielkie firmy rybackie, posługujące się wymyślnymi sieciami, wyjałowiły wszelkie zatoki, wyniszczyły rybostan. Reszty dokonały naboje dynamitowe, stosowane do ogłuszania ryb. Zdesperowani rybacy dawno już nie wiedzą, jak związać koniec z końcem. Roczny zarobek wynosi tu 4000 pesetów — jeśli dobrze pójdzie. Zazwyczaj mniej. Chleb jest

tylko odświętnym przysmakiem. O mięsie szkoda mówić. Na najędźniejszą egzystencję trzeba 700 pesetów miesięcznie. To znaczy przeszło 8000 rocznie, dwa razy więcej, niż można zarobić. Nie licząc wydatków na reperacje łodzi, zakup nowych sieci i tym podobnych nakładów. Nędza, skrajna nędza panuje tu więc stale. Jak w najgorszych latach kryzysu. Ale tu nie ma teraz kryzysu. W Hiszpanii generała Franco to są „czasy normalne...”

Wielu rybaków szuka więc dochodów dodatkowych. Wynajmuje się na statki rybackie wielkich przedsiębiorstw.

Albo emigruje za ocean do Argentyny. Ale tylko na kilka lat. Byle uciąć tyle, ile trzeba mieć na kupno własnej łódki i na powrót do kraju. Bo na miejscu własnego sprzętu się nie dorobisz.

Wieś tonie w mrokach ciemnoty i zabobonu. Wierzy, że na choroby pomagają zwłoki kota, wynajmuje zaklinacza gdy „ryba nie bierze”, boi się pannieczki miejscowej „czarownicy”, Marii Otero. Trzeba jej się opłacać datkami, by nie rzuciła uroku. A przecież ludzie orientują się tu jednocześnie w zdumiewający sposób w stosunkach politycznych i w sytuacji międzynarodowej.

Trudno ich tylko, bardzo trudno, wyciągnąć na zwierzenia.

Władza jest tu reprezentowana przez Falangę i Guardia Civil. Ale we wsi nie ma ani jednego miejscowego falangisty. I już na pierwszy rzut oka widać, że ostatnimi czasy Guardia Civil ma coraz większe trudności z roztaczaniem kontroli nad politycznymi poglądami mieszkańców. Sprawy jak gdyby trochę wymknęły jej się z rąk. Ludzie mają tu zresztą niezłą pamięć. Od czasu, gdy władzę zagarnął Franco, ceny poszły w górę o 500 procent. Zarobki — o 50 procent...

Jak w pochodzie żałobnym — po ciężkim dniu pracy powrót do wsi z sieciami.



Kobiety mają jeden temat rozmów:





lepiance, gdzie zgromadziła się rodzina.

Życie jest ciężkie i surowe. Ludzie są zamknięci w sobie, ostrożni, co najwyżej mrukną, że jest ciężko i że długo nie da się już chyba wytrzymać. Ale gdy zapytasz czego oczekują, nie dostaniesz odpowiedzi. Chętnie za to słuchają. Zdarza się, że do tej czy innej wsi przyjdzie obcy: bosi, w łachmany odziany wędrowiec. Nikt nie wie skąd przyszedł, dokąd pójdzie. Ludzie gromadzą się i słuchają. Milkną wtedy i posepniają. Potem nieznajomy mówca znika tak, jak przybył. Gdy zapytasz, kto to, odpowiedzą tajemniczo: może święty...

jak przeżyć najbliższe tygodnie.



Dzienny połów jest coraz mniejszy, zarobki coraz skąpsze.

Im mniej ryb w koszyku, tym mniej nabywców zjawia się na rynku...



W oczekiwaniu na powrót mężów i synów z codziennego rejsu.



Ramona Fachado była niegdyś jedną z najpopularniejszych śpiewaczek i tancerek Hiszpanii. Dziś dożywa ostatnich swych dni w Rianjo, w skrajnej nędzy.

Joselito Rodriguez ma lat 10. Ojciec siedzi w więzieniu za swe przekonania. Matka jest robotnicą rolną. Jose pomaga rybakom i opiekuje się rodzeństwem.



GOŁY PRZED CAŁYM ŚWIATEM

Nic tak nie gniewa oficjalnych rozgłośni titowskich, jak to, że prasa i radio świata socjalizmu bezlitośnie demaskują reżim belgradzki, jako reżim pacholców imperialistycznych, odbudowujących kapitalizm na terenie Jugosławii.

A tymczasem każdy dzień przynosi potwierdzenie tego faktu. Potwierdzają go bez żadnych osłonek korespondencje amerykańskich i brytyjskich dziennikarzy z Jugosławii, którzy niejednokrotnie piszą wprost o „likwidacji rewolucji” przez Tito.

Ostatnio fakt ten potwierdziło... radio titowskie (Zagrzeb i Belgrad). Oto rozgłoszła zagrzebska mowa przed kilku dniami o „doniosłych uchwałach rady gospodarczej”, najwyższego organu titowskiego w sprawach gospodarczych.

Jak wiemy, w krajach budujących socjalizm produkcja przemysłowa rośnie z roku na rok; w jednych dziedzinach szybciej, w innych wolniej, ale zasada jest niezachwiana: stały, nieustanny wzrost produkcji jako jedyna możliwa droga do wzrostu dobrobytu narodowego.

A w Jugosławii?

„Produkcja lekkiego przemysłu przejdzie na poziom planu gospodarczego z roku 1952, a to dlatego, że bilans płatniczy uniemożliwia nam zwiększenie przywozu surowców dla tego przemysłu”. (Radio Zagrzeb).

Co to znaczy? To znaczy, że robotnik i chłop jugosłowiański otrzyma w roku 1953 mniej towarów powszechnego spożycia, niż w roku 1952, kiedy z kolei otrzymał mniej, niż w roku 1951. A wzmianka o bilansie płatniczym jest wyjątkowo łatwa do rozszyfrowania. Oznacza ona po prostu, że ponieważ za tak zwaną „pomoc” amerykańską Jugosławia musi kupować — na rozkaz swoich mocodawców waszyngtońskich — amerykańską broń, przeto na surowce potrzebne do produkcji artykułów codziennego użytku nie ma pieniędzy.

Słuchajmy dalej.

„W toku dyskusji o polityce inwestycyjnej na rok 1953 ustalone zostało, że trzeba będzie przeprowadzić rewizję różnych wydatków socjalnych, które są u nas zbyt rozległe...”

Czy trzeba tłumaczyć, że te słowa oznaczają zapowiedź ofensywy na opiekę społeczną, lecznictwo, oświatę, na to wszystko, co w niewielkiej stosunkowo ilości wywalczyła sobie jugosłowiańska klasa pracująca?

Może ktoś powiedzieć: przemysł lekki i zdobycze socjalne nie mogą zajmować czołowego miejsca w pierwszym okresie uprzemysłowienia kraju, kiedy trzeba budować przede wszystkim przemysł ciężki. Posłuchajmy więc dalej rozgłosni zagrzebskiej.

„Przez zmniejszenie zasięgu budownictwa obiektów kluczowych ze 103 miliardów dinarów w r. 1952 na 42 miliardów w roku 1953 uzyskamy większe środki na inwestycje rolnicze”.

Naturalnie, nikt nie uwierzy w przeczucie tak ogromnych środków materialnych z przemysłu ciężkiego („klu-

czowe obiekty”) na rolnictwo, w którym w dodatku likwiduje się spółdzielczość i faworyzuje, bogacza wiejskiego. Środki te pójdą na rozbudowę aparatu terroru, na rozbudowę armii, której żądają gospodarze z Waszyngtonu.

Rozgłoszła belgradzka jest jeszcze szersza, powiada bowiem bez osłonek:

„W obecnych okolicznościach już nie stoi przed nami problem budowania nowego przemysłu...”

Ale pomimo to wszystko, jak mówi rozgłoszła zagrzebska, „nasz budżet będzie miał deficyt, który musi zostać pokryty przez pomoc z zagranicy”. Mamy tu wyraźną nutę żebracza pod adresem zachodnich mocodawców marszałka Tito.

Dlaczego tak się dzieje? Na to pytanie odpowiada nam wyraźnie amerykańskie radio z Monachium:

„Plany rady gospodarczej Jugosławii odpowiadają w zasadzie zaleceniom trzech mocarstw zachodnich, ich wytycznym co do tego jak należy użyć pomocy gospodarczej w wysokości 100 milionów dolarów, otrzymanych przez Jugosławię...”

Czyli — jak Waszyngton każe tak Tito robi.

Warto przy tej sposobności zacytować jeszcze parę słów, które o Tito pisze „Frankfurter Rundschau”, amerykańska gazeta w języku niemieckim. Omawiając wspomniane uchwały jugosłowiańskiej rady gospodarczej oraz zagadnienie „pomocy” amerykańskiej, pismo z całym cynizmem stwierdza:

„Tito jest dla zachodu użyteczniejszy w roli komunistycznego renegata, niż w roli fałszywego neofity demokratycznego... Tito w dalszym ciągu odmawia udziału w pakcie atlantyckim, ale przecież jego sojusz militarny z Grecją i Turcją jest już na odległość wyciągniętej ręki. Jeżeli dojdzie do zawarcia paktu bałkańskiego między Jugosławią, Grecją i Turcją, to problem, czy Jugosławia weźmie czy nie weźmie udziału w pakcie atlantyckim, odgrywać będzie zupełnie podrzędną rolę”.

To rozumiemy — szczerze, otwarcie, aczkolwiek plugawo.

Nie pisaliśmy tego wszystkiego po to, aby Czytelnikowi dowodzić, że Tito jest renegatem, lokajem imperializmu, gdyż są to rzeczy dobrze znane.

Ale warto było zacytować źródła titowskie i waszyngtońskie, które czarno na białym piszą przecież o nim to samo. W myśl otrzymanych wytycznych, Tito likwiduje budownictwo przemysłowe. Stosownie do zaleceń, Tito montuje blok z faszystowską Grecją i taką Turcją.

Potem może sobie „odmawiać przystąpienia” do paktu atlantyckiego, może mówić, ba — nawet krzyżeć wniebogłosy o budowie „socjalizmu” w Jugosławii. To już nikomu nie przeszkadza ani w Waszyngtonie, ani w Londynie.

A że to wszystko obnaża Tito i jego szajkę?

Na to w Waszyngtonie pluja, bo już od dawna Tito stoi przed całym światem goły.



Nowego nauczyciela i wicedyrektora dzieci z uśmiechem i... ciekawością

PASJA

TADEUSZA

ŻYTKIEWICZA

BOISKO szkolne przecinała droga. Jeździły po niej furmanki, chodzili chłopci. Ruch i kurz nie sprzyjały bezpieczeństwu ani zdrowiu dzieci. Więc nauczyciel wiejski, Żytkiewicz, postanowił zlikwidować drogę, wiodącą przez teren szkolny, i wytyczyć inną, tuż za parkanem.

Nauczyciel warszawski Tadeusz Żytkiewicz, syn owego nauczyciela wiejskiego, pamięta, jak pewien bogaty gospodarz przyszedł do ojca z batem. Wszystko o tę drogę. Chłop groził. Nie pozwoli, żeby mu w kaszę dmuchać i drogę przed nosem zamykać. Wprawdzie

do użycia bata nie doszło, gdyż ojciec stanowczością i spokojem ostudził zapalczywe zamiary przybysza — ale w umyśle syna, z powodów bliżej nieokreślonych, zdarzenie to na długie lata zostało jak gdyby symbolem ciężkiej doli nauczycielskiej.

Ojciec o swych przeżyciach i trudnościach nie opowiadał. Nie miał zresztą kiedy. Wychodził nad ranem, wracał w nocy. Nie wypoczywał chyba nigdy. A jednak umierając prosił, by chociaż jeden z synów kształcił się na nauczyciela.

Dzisiejszy nauczyciel warszawski był wtedy dwunastoletnim chłopcem. Z





witają przy wejściu do nowej szkoły.

perspektywy dwunastoletniego doświadczenia życiowego przyszłość wydaje się daleka i mglista. Ale w wieku lat trzy-nastu, gdy wybuchła wojna, zniemacka wkroczył Tadeusz w życie dorosłe. Żeby pomóc matce i rodzeństwu, musiał nając się do pracy u zasobnego sąsiada. Zarabiał na chleb w znaczeniu dosłownym: za robotę od świtu do nocy otrzymywał jedzenie. Poznał co to żniwa, siano-kosy, orka i wyzysk.

Jednocześnie ostrzej i wyraźniej zarysowała mu się własna przyszłość. I choć nie wiedział dokładnie, jaka będzie Polska po wojnie — jedno wiedział na pewno: że chce się uczyć. I tak się stało.

Po małej maturze, w roku 1947 wstąpił do Liceum Pedagogicznego w Siennicy. Nie dlatego bynajmniej, by czuł w sobie powołanie pedagoga. Ani — prawdę mówiąc — nie na skutek ostatniej oj-cowskiej prośby. Wciąż jeszcze kojarzyło mu się pojęcie zawodu nauczyciela z ową wizytą chłopca zbrojnego w bałog, ze wspomnieniem ojcowskiego życia bez wytchnienia, z nauką bez podręczników, z wędrówką do szkoły dzieci bez butów, z ponurą liczbą zaledwie kilku absolwentów szkoły powszechniej na czterdziestu kilku uczęszających. Już wtedy wprawdzie, w roku 1947 wszystko to należało do czasów zamierzających, ale w świadomości Tadeusza Żytkiewicza pozostał po nich osad goryczy.

Niemniej jednak Liceum Pedagogiczne było blisko. Zapewniało internat i stypendium. Matka, która podczas okupacji, nauczając na tajnych kompletach, dzielnie kontynuowała pedagogiczną tradycję rodziny, zachęcała Tadeusza do dalszego jej podjęcia. Wybór życiowej drogi dokonał się więc raczej z przyczyn zewnętrznych, niż z wewnętrznej pasji.

Tadeusz uczył się dobrze. Uczciwym wysiłkiem odwodził się ludowemu państwu za pomoc, opiekę i zaufanie. Ale wcale nieprędko skryształizowała się w jego umyśle treść nowej pedagogiki. Stare podręczniki utrudniały wypieranie starych pojęć. Nowe zasady, czerpane z pedagogiki radzieckiej, padały na grunt niedostatecznie jeszcze przygotowany.

Kiedyś rozgorzała wśród uczniów dyskusja nad książką Ostrowskiego: „Jak hartowała się stal” i nad „Poematem pedagogicznym” Makarenki. Rozmowa była gorąca. Argumenty krzyżowały się szybko, trudno było rozemnać się w ich wadze. Większość uczniów była zdeorientowana. Pokolenie, które za dzieciństwa przyuczano do trwania w bezsilności, nie łatwo pojmowało, że najważniejszym elementem kształtowania człowieka jest walka. Ludzie, którzy pierwszą, dziecięcą świadomością chłonęli nakazy pokory, nie od razu rozumieć, że dziecko ma prawo do własnej woli, własnego dążenia i własnego charakteru. Tadeusz Żytkiewicz pamiętał, że w owej dyskusji i jego stanowisko było chwiejne.

Pojechał wtedy na kurs zetempowski w Otwocku. Dowiedział się wielu rzeczy nowych. Po raz pierwszy w sposób systematyczny poznawał prawa rządzące rozwojem społeczeństwa. I wtedy dopiero wspomnienia ojcowskiej mordęgi i zadufanego w sobie bogacza wiejskiego, wspomnienia lekcji bez podręczników, dzieci bez butów i szkoły bez absolwentów zlały mu się w kształt jednolity. Osad goryczy po tamtych czasach przeistoczył się w wolę walki z wszystkimi ich pozostałościami. Z kontrastu między luźnymi obrazami z dzieciństwa a życiem obecnym zaczęły wyłaniać się pierwsze zarysy konsekwentnego poglądu na świat.

Po powrocie życie zaczęło jak gdyby płynąć szybciej. Już od kilku miesięcy Tadeusz Żytkiewicz był przewodniczącym zarządu szkolnego ZMP, a zarazem członkiem Gminnej Rady Narodowej w Siennicy. Teraz jeszcze skuteczniej go-dził zajęcia szkolne z pracą społeczną. Liceum Pedagogiczne ukończył w roku 1949. Zaczął uczyć w szkole podstawowej w Kałuszynie, ale już po miesiącu przeniesiony został do Warszawy, do szkoły podstawowej Nr 181, gdzie — jak sam mówi — dostał się pod opiekę dobrego kierownika, dyrektora Stępnia.

W szkole podstawowej młody nauczyciel wykładał chemię, fizykę, historię oraz naukę o Polsce i świecie współczesnym. Zarówno wtedy, gdy starał się przyswoić dzieciom prawo zachowania energii, jak wtedy, gdy rozpalał ich wyobraźnię opowiadaniem o bohaterstwie Tadeusza Kościuszki — wiedział, że kształtuje przyszłych uczestników wielkiego, socjalistycznego budownictwa. To, co on sam zdobywał bólem ciężkiego doświadczenia i trudnym rachunkiem myślowym, podawał swym uczniom w postaci wyzwolonej już od zakłamania i oszustwa. Własna praktyka nauczycielska zadawała cios dawnym jego pojęciom o „niewdzięcznym” zawodzie pedagoga. „Wiele radości sprawiała mi nauka o Polsce i świecie współczesnym — powiada Tadeusz Żytkiewicz — gdyż umożliwia ona urabianie ideowej postawy dziecka. Ale prawdziwą wartość zawodu nauczyciela poznałem wtedy dopiero, gdy po raz pierwszy siódmą klasę wypuściłem w świat”.

Młody nauczyciel, pamiętający czasy siódmych klas pustych lub nieistniejących, nabierał pasji nauczania.

Od początku pracy w szkole zbliżył się do organizacji partyjnej. Na kandydata do partii przyjęty został w styczniu 1951 roku, na członka — w rok później. Jednocześnie jest członkiem Związku Nauczycielstwa Polskiego i — studentem pedagogiki na Uniwersytecie Warszawskim. W ciągu trzech lat studiów Tadeusz Żytkiewicz raz jedyny, na jedną godzinę zwolnił się z zajęć zawodowych. Wrzesień bieżący przyniesie mu dyplom. Tegoroczne lato przyniosło mu zaszczytną nominację na wicedyrektora nowej TPD-owskiej szkoły jedenastoletniej w Warszawie, na Grochowie, przy ulicy Boremłowskiej. Przyniosło mu także zaszczytny wybór: będzie delegatem na Prześniową Ogólnokrajową Radę Przerodujących Nauczycieli w Warszawie.

Był na pierwszej lekcji nauki o Konstytucji, prowadzonej przez Tadeusza Żytkiewicza w siódmej klasie nowej szkoły (w tym dniu odbywały się



W klasie siódmej Tadeusz Żytkiewicz wyklada nowy przedmiot: Naukę o Konstytucji. W całej Polsce odbywały się w tym dniu pierwsze lekcje o Konstytucji.



Częste są wizyty matek. Spóźniony zapis, prośba o przeniesienie do klasy, w której wyklada się dodatkowo łacinę — oto niektóre z licznych powodów tych wizyt.

chyba w całej Polsce tysiące pierwszych lekcji o Konstytucji). Dzieci rozmawiały z nauczycielem o zagadnieniach największej wagi. Zdawało się czasem, że wypowiadają się jak gdyby ze zbyt wielką łatwością. Rzecz dobrze wiadoma dorosłym: chłonność dziecięcej pamięci biegnie szybciej niż prawdziwe rozumienie trudnych spraw. Od nauczyciela dopiero zależało rozstrzygnięcie tego wyścigu. Dopiero on wypełnił trwałą wartością łatwość dziecięcego pojmowania. Dopiero on wyjaśnił uczniom, jaki trud przebytej drogi dzieli Polskę nowej Konstytucji od Polski wczoraj, Polskę Złotu Młodych Przerodowników od Polski dzieci bez butów. Dopiero on wytłumaczył młodemu pokole-

niu, że szczęśliwe wcie zdobywa się walką i pracą, tak jak pisał Ostrowski, tak jak pisał Makarenko.

Tadeusz Żytkiewicz nauczył tego dzieci na pewno. Nauczył — gdyż bardzo chce nauczyć.

— Próbowano mnie kiedyś przenieść do aparatu administracyjnego — powiedział mi w pierwszej rozmowie — Ale nie dałem się oderwać od pracy nauczycielskiej.

— I nigdy nie dam się od niej oderwać — dodał pośpiesznie.

Tekst: KAMILA CHYLIŃSKA
Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI

NOWA KSIĘGA DŻUNGLI

OPOWIADANIE HISTORYCZNE
Z POŁOWY XX WIEKU

KIEDY na stację wjechał pociąg pełen żołnierzy, Luała Ru pracował na bocznym torze, zajęty wyładowaniem zwojów kolczastego drutu. Razem z hinduskim przyjacielem o pięknym imieniu Kisani podnosił w górę ciężkie szpule i przerzucał je z towarowego wagonu na platformę samochodu.

Słońce ledwo co wyszło zza gór, a już przesycalo swoim żarem wilgotne fale powietrza. Na kolcach wyrzucanego w górę drutu skrzyły się gdzieś niedaleko krople potu, który zdążył spłynąć z pónagich ciał dwu młodych robotników.

Chłopcy przerwali pracę. Stojąc wysoko na kolczastych szpulach przypatrywali się żołnierzom, którzy zdążyli już wyskoczyć z pociągu i ustawić się w dwusereg na głównym peronie. Z wyjątkiem starszych szarż wszyscy byli bardzo młodzi, w każdym razie niewiele chyba starsi od Luały i Kisani. Z chłopięcą ciekawością myszowali oczami po ubogim dworcu Kwala Lumpur, stolicy bogatej Unii Malajskiej. Szczególnie jeden z żołnierzy, młody chłopak z dużym krzyżem widocznym na rozpiętej bluzie, był bardzo podniecony, rozglądał się to w lewo, to w prawo, szturchał kolegów, o czymś z nimi rozmawiał, aż nagle roześmiał się jak uszczęśliwione dziecko i wskazał ręką w kierunku towarowego wagonu, na którego kolczastym ładunku stali Luała i Kisani.

Malajczyk i Hindus czuli na sobie oczy całej kompanii, a głośny śmiech chłopca z krzyżem drażnił jak brzęczenie os.

— Zły to znak, gdy biały się cieszy — szepnął Kisani, który znał mnóstwo przysłów południowej Azji i przy każdej okazji lubił się popisywać mądrością ludu.

— Nie kracz! — odburknął Luała — Słuchaj lepiej, co oni tam wykrzykują. Słyszysz?

Zachodni wiatr z łatwością przenosił podniecone głosy żołnierzy z głównego peronu na boczny tor:

— Popatrzcie, dobry omen!

— Gdzie?

— Tych dwóch Malajów?

— Ależ nie! Za nimi! Widzicie napis: GOLDEN HOPE! Złota Nadzieja! Golden Hope!

Spośród żołnierzy najbardziej promieniał radością chłopak z krzyżykiem. On pierwszy dostrzegł te dwa wspaniałe słowa.

— Proponuję — krzyknął — abyśmy się nazwali Kompanią Złotej Nadziei...

Dalsze słowa zgłuszyła komenda, cały oddział zrobił pół obrotu i stukając butami wymaszerował z dworca w stronę miasta.

Kisani spojrział na przyjaciela. Ten stał wyprostowany z zaciśniętymi pięściami, bez ruchu, jak posąg odlany z brązu.

— Znamy tę Złotą Nadzieję, jak królik węża — zanucił melancholijnie Kisani.

Lułała drgnął. Odwrócił głowę w stronę wielkiej tablicy, do połowy przesłoniętej wagonem. Wypisane na niej litery znał na pamięć:

GOLDEN HOPE
RUBBER ESTATE

LONDON

Station of reloading

Kwala Lumpur/British Malaya

W obcym języku wymalowane słowa oznaczały, że w tym miejscu znajduje się stacja przeładunkowa londyńskiej spółki eksploatującej malajski kaczuk, spółki, która ze względu na słuszną przewidywaną wielkie zyski, przyjęła poetyczną nazwę „Złotej nadziei“. Cały malajski kraj pokryty jest sztyldami londyńskich firm. Golden Hope Rubber Estate, Dunlop Rubber Company, Lanandrow Rubber Estates, Muar River Rubber, Kepong Rubber Estates Kwala Lumpur Rubber Co, London



Przywieziono oddziały oślawionej policji...

Asiatic Rubber Scottish Malayan Estates, United Sua Bentong, Highlands and Lowlands Para Rubber Co, Petaling Rubber Estates, to — obok londyńskich firm eksploatujących malajską cynę, jak Southern Kinta Consolidated, British Tin Investment, Consolidated Tin Smelters, Pengkalen Ltd., Kramat Pulai, czy London Tin Corporation — najpotężniejsi władcy bogactw malajskiej ziemi. Co prawda w r. 1948 zmieniono nazwę tej ziemi z British Malaya na Unię Malajską, ale przez to nie zmieniła się ani na jotę władza londyńskich firm nad malajską ziemią, szkoda więc było farby, by zmieniać na starych szyldach „zasłużony“ przymiotnik „British“.

Lułała, który przez ułamek sekundy zatrzymał wzrok na ostatniej linii tablicy „Złotej Nadziei“, skrzywił ironicznie usta i mruknął dość głośno:

— Zobaczmy, jak długo jeszcze Malaje będą brytyjskie.

— Uważaj — syknął Kisani — idzie boss!

Równocześnie pochylili się nad ładunkiem wagonu, z dwóch stron uchwycili pierwszy z brzegu drewniany słup, na który nawinięto zasiekowy drut, równocześnie podnieśli zwoj w górę i cisnęli na samochodową platformę.

— Szybciej, szybciej — komenderował boss.

Chłopcy trącili się, niby niechcący, łokciami. Zza kierownicy samochodu wychylił się stary Chińczyk — niewidoczny dla bossa — i śmiał się znacząco do chłopców, potem wtulił łysą głowę w ramiona, do uszu przystawił otwarte dłonie i wolniutko, bardzo wolniutko zaczął je wysuwać ku przodowi. Przypominał teraz do złudzenia zółwia, który próbuje się poruszać.

Chłopcy pochylili nisko głowy, aby nie parsknąć śmiechem. Rozumieli się dobrze ze starym chińskim przyjacielem, Czen Li.

W południe, kiedy trzeba było zrobić przepisana upałam wielką przerwę, samochód nie był jeszcze zapełniony. Boss mister Smith, tłuściutki człowieczek, o króliczych, zawsze czerwonych oczkach, zlany potem od nadmiernego krzyku odjechał wściekły do miasta.

Kisani, Luała i Chińczyk usiedli w cieniu wagonu i wolno, bardzo wolno, aby jak najwięcej śliny wypełniło pusty żołądek, żuli rozgotowane ziarna ryżu, które wyjmowali ostrożnie z małych drewnianych miseczek, przyniesionych przez Chińczyka z kolejowego bufetu.

Gdy skończyli swój „obiad“, chłopcy wyciągnęli się na drewnianych pokładach, stary Czen Li sapalił fajeczkę i — jak to było w zwyczaju, ilekroć stykali się ze sobą w chwilach wolnych — rozpoczął swój „wykład“ od zarządzenia:

— Nie dam wam spać. To wasza wina, że się tak zmęczycie. Gdybym wam nie dał znaku, wypocilibyście duszę ze strachu przed krzykiem bossa.

— To nieprawda — zachnął się Luała — Nie znamy strachu. Pracowaliśmy gorzej niż zółwie. A zmęczeni jesteśmy upałem i głodem.

— Nie krzycz — wtrącił się Kisani. — Naucz się mówić szeptem. Znacnie przecież przysłowie: gdy lud szepce, próżny jest krzyk sułtana...

— Dobrze, już dobrze, obaj macie rację — Czen Li wypuścił kłęb dymu. — A ja nie dam wam spokoju. Lud szepce, bo wszyscy są zmęczeni głodem i upałem, głodem i ulewami, głodem i bezprawiem. Najlepsi z ludu walczą, a naszym obowiązkiem jest im pomagać. Pomóc może tylko ten, kto myśli. Przyrzekliście mi, że będziecie się uczyć trudnej sztuki myślenia politycz...

Czen Li urwał. Ktoś przechodził w pobliżu. Po obuwiu rozpoznał żołnierza. Skąd o tej porze? Od strony peronu dochodził stuk wojskowych butów. Należało więc odczekać, aż wróci spokój obiadowej pory. Czen Li pykał więc fajkę i milczał.

Chińczyk kochał obu chłopców jak swych własnych synów, których stracił przed kilku laty. Nie mieli wtedy nawet piętnastu lat. Samoloty bombardowały osadę podejrzaną o ukrywanie komunistów. Następnego dnia Czen Li zgłosił się do partii. Nie było to łatwe. Partia była od kilku miesięcy zakazana i nie przyjmowano tak od razu. Czen Li wystawiany był na wiele prób. Gdy je przeszedł, kazano mu się uczyć. To było jeszcze trudniejsze. Nieraz w czasie wykładów zasypiał. Towarzysze budzili go ostro. Wreszcie przemógł lenistwo starego mózgu. Wtedy odmienił się, odmłodniał, poprosił towarzyszy, by go zrobili wykładowcą, nie chce sam tylko wiedzieć, chce młodszym przekazywać zdobytą wiedzę. Polecono mu więc zorganizowanie w „Złotej Nadziei“, gdzie był szoferem, wykładów dla młodych robotników.

Byli to przeważnie chłopcy ze wsi, którzy w większości nie umieli ani pisać, ani czytać, stale głodni, niechętni do myślenia. Stąd Czen Li każdy swój wykład zaczynał od zarządzenia. Kłął bezlitośnie, byle wywołać oburzenie, podrażnić młodzieńczą ambicję.

Ci dwaj chłopcy robili wyjątkowo dobre postępy. Z początku miał z nimi trudności. Byli wobec siebie nieufni, bo jeden był Hindusem, drugi Malajczykiem. Obaj pochodzili ze wsi i obaj przynieśli z sobą, zaszczepioną przez sto lat polityki angielskiej w tym kraju, nieufność do innych narodowości żyjących na malajskiej ziemi. Skłócić z sobą dwa i pół miliona Malajczyków, tyleż Chińczyków i ponad pół miliona Hindusów zamieszkałych w „British Malaya“, aby Malajczyk pogardził Chińczykiem i Hindusem, ci zaś z kolei Malajczykiem — oto była cała mądrość kolonialnej polityki Anglików. Skłócone między sobą trzy ludy jednego kraju były zbyt słabe, by mogły przeciwstawić się brytyjskiej przemocy. Komuniści byli jedynymi, którzy walczyli przeciwko narodowościowemu sporom. Oni też pierwsi rozpoczęli organizowanie związków zawodowych. Było to jeszcze przed wojną, kiedy Luała i Kisani byli małymi chłopcami. Z początku Anglicy postawili jako warunek, że związki będą osobne dla każdej narodowości, co nawet wielu robotników uważało wówczas za słusne. Ale wkrótce przyszła wojna, ucieczka Anglików, przyśpiecie Japończyków. To był wstrząs pierwszy, drugi przyszedł natychmiast po nim. Japończycy okazali się tak samo okrutni i bezwzględni jak Anglicy. Porozumieli się szybko z feudalnymi sułtanami malajskich prowincji i uczynili z Brytyjskich Malajów Japońskie Malaje. Wtedy Komunistyczna Partia Malajów wezwała wszystkie trzy ludy do wojny wyzwoleniczej i stworzyła Antyjapońską Armie Ludu Malajskiego.

Czen Li pamiętał dobrze te czasy, które dla chłopców należały już do nauki historii. Nieraz musiał im tłumaczyć, jak to było dawniej, przed dziesięciu, piętnastu laty.

Czen Li znał rodziny obu chłopców. Ojciec Kisaniego, wysokie nad miarę chłopisko, był naiwny jak dziecko: wierzył w dobroć każdego człowieka, biednego czy bogatego. Ale dzieci swych nie potrafił wyżywić, choć modlił się co dzień do bogini obfitości. Kiedy długo umierał pod kolbami Japończyków, na pewno był bardzo zdziwiony, że są ludzie, co chcą mu zabrać ostatnie ziarnko garści ryżu, które zachował dla dzieci.

Ojca Luała Czen Li znał również. Nieraz jadąc z transportem „Złotej Nadziei“, wstępował do odległej o kilka mil od Kwala Lumpur wioski i rozmawiał ze zgarbionym staruszkiem, który nie miał lat czterdziestu, a wyglądał jakby miał sto. Od świtu do nocy pracował na polach sułtana, ostatkiem sił



Patrole brytyjskie przebiegały dżunglę we wszystkich kierunkach...

obrabiał swoje pół mu i głodował wraz z żoną, która kiedyś musiała być bardzo piękna, i dziećmi, które wszystkie — było ich pięcioro — wdały się w matkę, ale o polityce nie słyszeć nie chciał. Bał się sultana, bał się dżungli, bał się rudyh angielskich diabłów, tylko nie bał się żyć całe swe życie w nędzy. Luała, najstarsze z dzieci, przysłuchiwał się nieraz temu, co Czen Li mówił ojcu o robotnikach zorganizowanych po miastach i plantacjach i o konieczności organizowania się robotników rolnych. Ojciec wtedy garbił się jeszcze bardziej, niespokojnie rozglądał się wokół i prosił Chińczyka, by nie zatrzymywał się więcej przed jego domem, bo sprowadzi tylko nieszczęście. Pewnego razu, gdy Czen Li wrócił z rozmowy ze starym Ru i wprowadził ciężarówkę do garażu, zeskoczył z platformy Luała.

— Nie chcę wracać do domu — powiedział — pomóż mi.

Tak Luała został robotnikiem transportowym „Złotej Nadziei”. Było to przed dwoma laty, miał wtedy 17 lat, niewiele w głowie i niewiele w żołądku. W tym samym czasie zjawili się Kisani. Chłopcy boczyli się z początku na siebie. Poza przesadami wyniesionymi z domu, było też w obu trochę zazdrości o przyjaźń z Czen Li. Wykłady powoli jednak zrobiły swoje. Któregoś dnia Kisani z dumą powiedział:

— Wiecie, że moja matka nie mówi już złego słowa na Malajczyków i Chińczyków. W dzieciństwie uczyła mnie, że mam ufać tylko Hindusom. Teraz każe mi ufać wszystkim, którzy walczą o wolność. Przypomniała sobie stare przysłowie: Ufaj wszystkim biednym, nie wierz żadnemu z bogatych.

Dzisiejszy wykład postanowił Czen Li poświęcić historii Komunistycznej Partii Malai. Ale co chwila ktoś przystawał w pobliżu i stary Chińczyk z powrotem wkładał fajkę do ust, a chłopcy przysmykali powieki udając, że śpią...

Ruch na stacji o tej porze dnia wskazywał wyraźnie, że coś musiało się stać. Kisani dostrzegł na głównym peronie szeroko rozstawione oficerskie buty, o które ktoś nerwowo uderzał bambusową trzcinką.

W takich wypadkach należało pozostawać w ukryciu. Chłopcy zmrugniętymi oczami obserwowali kamienny stopień głównego peronu. Czen Li porządkował sobie w głowie raz jeszcze dzisiejszy wykład.

A więc rozpocznie od 1933 roku, daty urodzin chłopców i daty powstania Komunistycznej Partii Malai. Przede wszystkim opowie o tym, jak wtedy wyglądał kraj, o którym gazety w świecie nie pisały więcej, tylko ile daje kauczuku i cyny: 32% i 41% światowej produkcji.

Potem — wojna. O tych latach chłopcy słuchają najchętniej. Szczególnie dużo o tym, jak była się o wolność Malai Antyjapońska Armia Ludu Malajskiego, kierowana przez Partię.

Z kolei o powrocie Anglików. Jak gen. Templer dekorował w Kwała Lumpur brytyjskimi orderami przywódców Armii Ludu, komunistów Czang Penga i Lo Ju i mówił: „Byliście wspaniałymi sojusznikami! Wielka Brytania nigdy wam tego nie zapomni!” A potem ogłoszono, że Rząd Jego Królewskiej Mości postanowił z dawnych kolonii Brytyjskich Malai uczynić Unię Malajską z rządem malajskim pod patronatem Wysokiego Komisarza Jego Królewskiej Mości.

Partia nie wierzyła ani jednemu angielskiemu słowu. Anglicy byli przerażeni rozrostem Partii, rosnącym wpływem związków zawodowych, które utworzyły natychmiast ogólnomalajską federację, oraz siłą moralną stowarzyszenia byłych uczestników walki z Japończykami. Piękne słowa gen. Tempiera służyły zyskaniu na czasie. Politykę ustalano w Londynie. Dla Anglików najważniejsze było przywrócenie dawnego stanu posiadania londyńskim firmom wydziedziczonym na krótko przez firmy tokijskie. Anglicy rozglądali się za malajskimi sojusznikami londyńskich spółek przywykłych do złotych nadziei. Jedynymi partnerami mogli być tylko sultanie prowincji, którzy bali się sądów ludowych ze kolaboracją z Japończykami. Pierwszym więc dekretem królewskim przywrócono prawa sultańskie w dziewięciu feudalnych księ-

stwach, które złączono pod wspólną nazwą Unii Malajskiej, a „rząd malajski” mianowano spośród sultańskich zauszników.

Trzy ludy jednego kraju patrzyły z pogardą na komedię „zmiany ustroju”, i poprzez Partię, poprzez związki zawodowe domagały się nadal niepodległości. Partia dalej rosła w siłę i dalej na cały kraj rozszerzała swe wpływy federacja związków zawodowych. A w tym samym czasie na północy, za Królestwem Sjamu, zwyciężał wielki Mao Tse-tung, o którym od lat krążyły legendy wśród trzech ludów malajskiego kraju.

Gdy zwycięstwo Mao Tse-tunga stało się faktem, w Waszyngtonie odbyła się anglo-amerykańska narada w sprawie dalszej wspólnej polityki na Dalekim Wschodzie. Wkrótce z Londynu nadszedł rozkaz: Sprowokować pod jakimkolwiek pozorem jakiejkolwiek zajście i uderzyć, zniszczyć Partię, rozbić związki zawodowe, aresztować byłych uczestników walki z Japończykami. Prowokacja i uderzenie nastąpiły w czerwcu 1948 roku. To już chłopcy pamiętają. Prowokatorzy zastrzelili trzech angielskich plantatorów, poczem przez szereg tygodni i miesięcy policja przeprowadzała masowe aresztowania i masowe egzekucje publiczne. Późną jesienią z samolotów rozrzucono tysiące ulotek ze zmasakrowaną głową przywódcy Antyjapońskiej Armii Ludu — Lo Ju.

O jesieni 1948 roku Czen Li nie może myśleć spokojnie. Był wtedy jeszcze ślepy. Należał co prawda do związku zawodowego, całym sercem był przeciwko najeźdźcom, ale nie rozumiał tego, co mówili przyszli jego towarzysze. Nie mógł w żaden sposób pojąć, że w niecałe trzy lata po wojnie z Japończykami tych, którzy bili się z nimi, tych których odznaczono za to, teraz w najmniejszy, w najbardziej podstępny sposób wywlekano z domów, bito i mordowano. Ulotki z pohańbioną głową bohaterskiego Lo Ju to był początek. Wkrótce zaczęły spadać bomby na osiedla podejrzane o sprzyjanie komunistom. Wtedy stracił obu synów. Z Niemiec przywieziono sfory psów, czarne wilki, tresowane w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Z Borneo przywieziono samolotami dzikich Dajaków, którzy umieli tropić ludzi w dżungli i zabijać zatrutymi strzałami wydumchiwanymi z bambusowych rurek. Z Indii sprowadzono okrutnych Ghurków, jańcharów Brytyjskiego Imperium. Z Palestyny przywieziono oddziały osławionej tam policji angielskiej. Patrole przebiegały dżunglę we wszystkich kierunkach. Terror miał być zastosowany we wszystkich formach, aby od jednego uderzenia rozbić siły malajskiego ludu.

Wtedy pokazała się siła Partii. W ciągu kilku miesięcy Partia potrafiła zorganizować na nowo Armię Ludu Malajskiego, z kolei Antyjapońską. Jednocześnie powołała do życia masową organizację podziemną Min Juen — Front Narodowy.

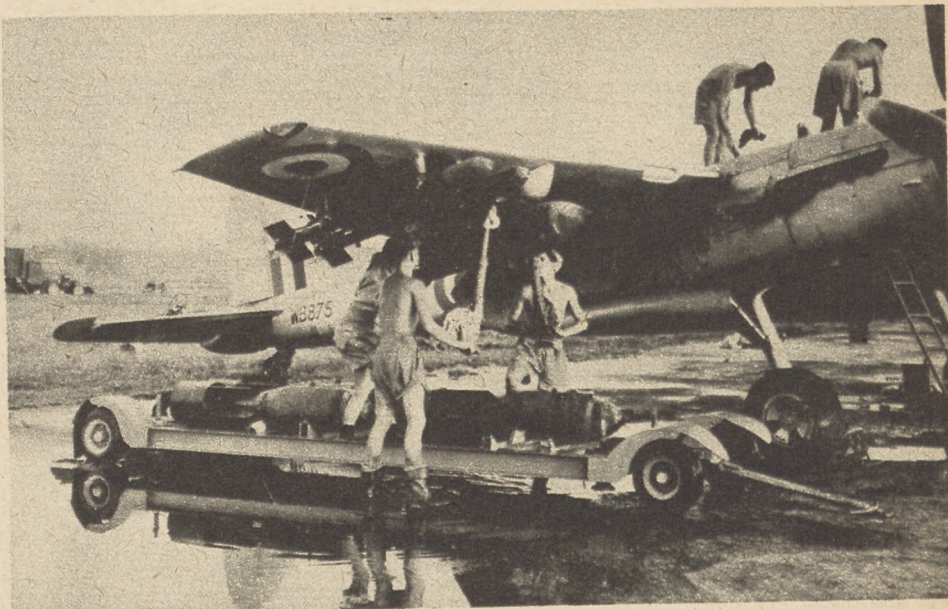
Od czterech przeszło lat toczy się walka. Oto rozpoczął się ostatni kwartał roku 1951, tego roku, o którym powiedział Wysoki Komisarz Unii Malajskiej, Sir Henry Gurney, że będzie rokiem ostatecznej klęski komunistów. Z Australii, z Afryki, z Indii i Ceylonu przybywają co miesiąc nowe wojska. Zapelniono złotem worek Judaszów: Wysoki Komisarz płaci premie za każdego żywego lub zabitego komunistę. Najwyższą premię wyznaczono za bohaterskiego przywódcę Partii i Armii, towarzysza Czang Penga. W każdym osiedlu rozwieszono plakat:

„80 000 lub 60 000 malajskich dolarów otrzyma każdy, kto dostarczy władzom żywego lub zabitego przywódcę bandytów, Chińczyka

CZANG PENG

Liczy on lat około trzydziestu, jest miły w obejściu, ruchy ma spokojne, ma bladą cerę z ceglastymi wypiekami, utyka lekko na prawą nogę, która po postrzale (japońskim, o czym milczy plakat) — jest sztywna. Mówi biegle po malajsku, chińsku i angielsku.”

Czen Li z podziwem myśli o Czang Pengu i z podziwem patrzy na swą Partię. Podziwia ją nie tylko za to, że potrafi strzec Czang Penga, jego dziś strzeże cały lud. Podziwia ją nie tylko za to, że potrafiła okrzepnąć w najgorszych latach walki, że potrafiła stale zwiększać liczbę swych członków, że umiała stworzyć i umie kierować po-



RAF NA MALAJACH.

Wkrótce zaczęły spadać bomby na osiedla, podejrzane o sprzyjanie komunistom...

teżnym Min Juenem, ale przede wszystkim za to, że w tak okrutnym czasie wciąż znajduje czas na szkolenie takich jak on, a z kolei takich jak Luała i Kisani. Przecież dziś w całym kraju obok partyzantów istnieje ogromna sieć partyjnych wykładowców, takich jak Czen Li i takich, którzy uczyli Czen Li, i takich, którzy uczyli jego nauczycieli. W dżungli są szkoły, utrzymywane przez Armię Ludu. Wczoraj Czen Li otrzymał obietnicę — powie dziś o niej chłopcom, — że jeśli zdadzą egzamin z tego, co im wykladał, pójdą do szkoły imienia Mao Tse-tunga, która mieści się w tajemniczym Miejscu Postoju.

Czen Li nierad był ze straconej dziś godziny wykładu. Ruch na stacji nie ustawał. Pod główny peron podstawiono pociąg. Nadjeżdżały samochodami oddziały policji brytyjskiej i Ghurków. Szczękały wypchane do wagonów czarne hitlerowskie wilki. W oknach przedziałów pojawiły się karabiny maszynowe. Pociąg ruszył.

W tej samej chwili nadbiegł boss, bardziej jeszcze wściekły niż rano. Już z daleka krzyczał:

— Do roboty! Do roboty! Już ja was, lenie, pogonię!

Luała i Kisan wdrapali się na wagon. Czen Li spokojnie podszedł do bossa i zapytał:

— Co się stało, mister Smith?

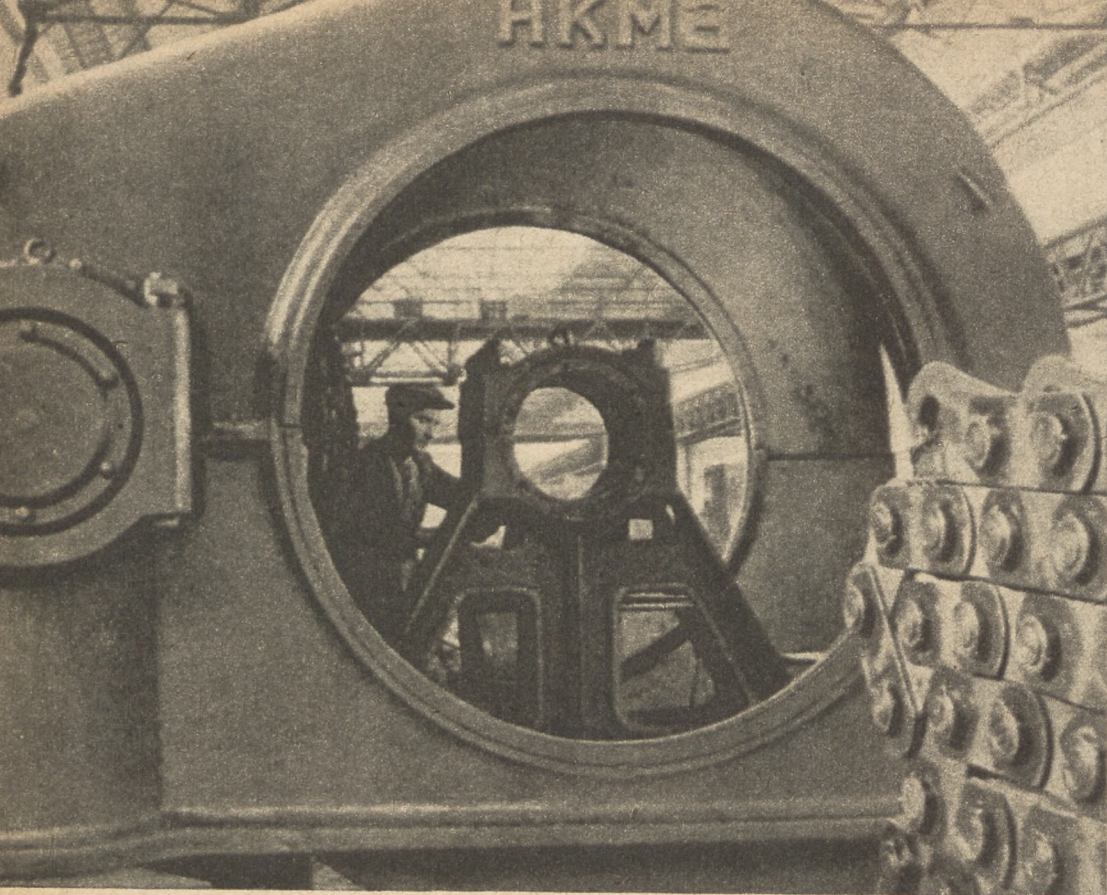
Zapytany popatrzył smutnie na Chińczyka, którego lubił za to, że zawsze samochód miał gotów do wyjazdów i nie bał się jeździć do najniebezpieczniejszych nawet terenów. Po chwili wzniósł w górę swe królicze oczka, odsapnął, zdjął z głowy korkowy kask i jednym tchem wyrzucił z siebie ciężką mu nowinę:

— Bandyci zastrzelili Wysokiego Komisarza, Sir Henry Gurneya. General Templer przejął całą władzę.

Balszy ciąg nastąpi



Z Niemiec przywieziono wilki, tresowane w hitlerowskich obozach koncentracyjnych...



Montaż głównego dźwigu dla koparki-giganta o czepaku pojemności 15 m³. Zbudowanie tej koparki było jednym z największych sukcesów zakładów w Nowo-Kramatorsku.



Fragment oddziału mechanicznego zakładów. Z inicjatywy produkującego majstra tego oddziału, P. Korniewa, rozwinął się w zakładach masowy ruch instruktorów-ochotników.

FABRYKA

EDWARD KARŁOWICZ

JESLI przyłożymy linijkę do mapy, stwierdzimy, że dwa wielkie zakłady przemysłowe — ten na Śląsku i ten w Zagłębiu Donieckim — dzieli odległość blisko półtora tysiąca kilometrów. Ale ostatnio stały się one bardzo sobie bliskie. Zwłaszcza tego dnia, kiedy do huty „Bobrek” zaczęły przybywać pociągi wiozące urządzenia mechaniczne dla potężnej walcowni-zgniatacza, pociągi z dalekiego Donbasu.

Dziwne może się wydać, że zgniatacz, zamówiony przez nasz przemysł jeszcze w roku 1946 w Stanach Zjednoczonych, przybył z pewnym opóźnieniem i z zupełnie innej strony. Ale to historia dla naszych czasów niezwykle typowa. Gdy przed sześciu laty zamówiliśmy w USA urządzenia zgniatacza, firmy amerykańskie, przeżywające okres depresji po „złoty” czasach wojny światowej, przyjęły skwapliwie zamówienie i zobowiązały się nawet wykonać je w bardzo krótkim czasie — w ciągu dwóch lat. Gdy jednak zgniatacz był gotowy i tylko czekał na przewiezienie, wniósł się rząd amerykański: nie pozwolił na dostarczenie Polsce tego tak potrzebnego urządzenia. „Wypróbowany przyjaciel” naszego narodu jeszcze raz pokazał, jak zapatruje się na sprawę rozbudowy przemysłu Polski, na sprawę naszego rozwoju gospodarczego.

ADRES: „MIETALURGICZESKIJ ZAWOD BOBREK”

Żłudne były jednak nadzieje imperialistycznych kombinatorów, którzy liczyli, że zahamują rozwój tak ważnej dziedziny naszego przemysłu, jak produkcja walców. Kłopoty ze zgniataczem nie trwały długo: rząd radziecki bez wahania przyjął dodatkowe zamówienie. I chociaż zakłady budowy maszyn ciężkich w ZSRR pracują pełną parą, chociaż wykonują między innymi olbrzymie zamówienia dla budowy komunizmu — załogi przedsiębiorstw przyjęły nasze zamówienie i odpowiedziały: wykonamy walcownię-zgniatacz dla polskiego przemysłu w ciągu roku.

Podstawową część zgniatacza — urządzenia mechaniczne — miały wykonać właśnie owe dalekie, a tak bliskie zakłady w Zagłębiu Donieckim. Dotrzymały one słowa. Dokładnie w zapowiedzianym terminie przybyły do Polski setki wagonów skomplikowanych narzędzi — cztery i pół tysiąca ton! — opatrzone adresem: „Polsza, Metalurgiczny Zakład Bobrek”. Na ogromnych skrzyniach widniał również adres nadawcy — nazwa fabryki, o której dziś ludzie w hucie „Bobrek” mówią z uzasadnionym szacunkiem: Zakłady imienia Stalina w Nowo-Kramatorsku.

SERCE KOPARKI „ESZ-1”

Dwa lata temu przybyły na trasę Kanału Wołga — Don koparki kroczące „ESZ-1”, wyprodukowane w zakładach Nowo-Kramatorska. Miały one czepak o pojemności 3,4 metra sześciennego i ramię długości 38 metrów, czyli były większe od największych koparek pracujących parę lat wcześniej przy odbudowie Dnieprogesu. Norma koparki „ESZ-1” przewidywała wydobywanie 960 metrów sześciennych ziemi w ciągu zmiany (co przewyższa pracę czterech kopaczek); nowa koparka miała być średnią maszyną tego typu na Wołgo-Donie, i przewidywano, że znajdzie szerokie zastosowanie.

Tymczasem w parę tygodni po zmontowaniu pierwszych koparek można było usłyszeć u ekskawatorzystów takie rozmowy:

— Na czym pracujesz?
— Na „ESZ-1”.

— O, to częściej stoisz, niż pracujesz... Prawda była gorzka: ekskawatorzyści na nowych koparkach nie wyrabiali norm. Zamiast czterech dni w miesiącu, przewidzianych na profilaktyczny remont, „ESZ-1” stała tydzień i dłużej.



Demontaż koparki-giganta w zakładach. Dla przewiezienia tej maszyny...



Szlifowanie walców do produkcji nowo-kramatorskich okazały się...

„Nawalały” hamulce, automaty tryczne, niektóre inne ważne elementy skomplikowanej maszyny. Opinia młodej fabrycznej była poważnie zagrożona. Na Wołgo-Don przyjechali nowo-kramatorscy inżynierowie i technicy. Biorąc koparkę w czasie eksploatacji, stwierdzili, że są w niej elementy niedoskonałe, że „trochę w niej za mało serca”. Mogli im wydatnie ekskawatorzy wskazywać najczulsze miejsca nowo-kramatorskiej maszyny. Równocześnie jednak sami musieli przyznać, że nie dość starannie chodzą się z precyzją — mimo ogromnych rozmiarów — maszyną.

I wtedy zrodziła się idea, która zalała wkrótce szerokie zastosowanie wielu budowlach Kraju Rad. Ustalono, że ekskawatorzyści, przewidziani do obsługi nowych koparek, pojedą do Nowo-Kramatorska, wezmą udział w montażu maszyn, w próbach — i razem z nimi przyjadą na budowę. Przyjadą specjaliści wysokiej klasy, znający wylot swoje maszyny.

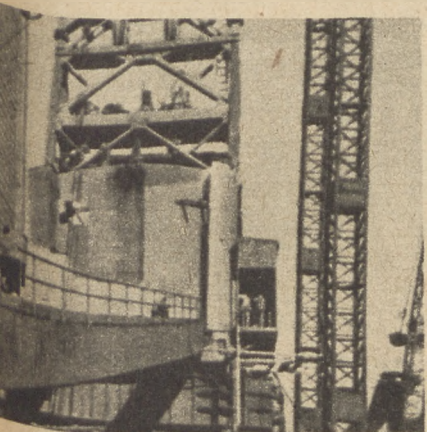
Rezultaty nie kazały długo na siebie czekać. „ESZ-1” chodziły jak zegary. Chociaż to raczej niewłaściwe porównanie — coś wart jest zegarek, w którym w ciągu kwadransa wskazówka przejdzie całą godzinę? A w takiej małej proporcji wzrosła wydajność nowo-kramatorskich koparek. Produkcja ekskawatorzyści, tacy jak Chudjakow, J. molenko, Łukin czy Kondratiuk, systematycznie przekraczali wydobywanie 100 metrów sześciennych w ciągu zmiany. Dziś taką wydajność osiągają już dziesiątki ekskawatorzystów. I o marce zakładów nowo-kramatorskich mówią jak inni — z najwyższym uznaniem.

MASZYNY „FABRYKI FABRYK”

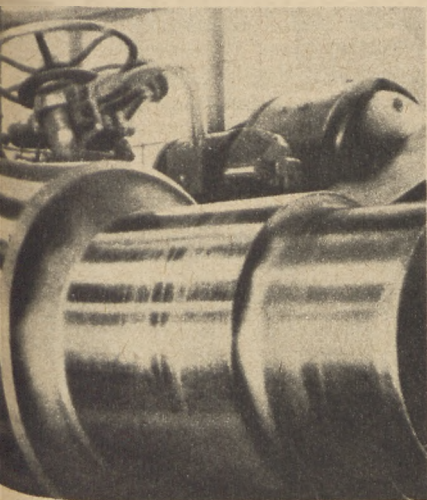
Kiedy jesienią 1943 roku Armia Rodeicka wygnała hitlerowskiego najazd z Donbasu — teren, na którym znajdowały się zakłady nowo-kramatorskie, przedstawiał smutny widok. Wśród zwalonych murów leżały stopy...

YKA FABRYK

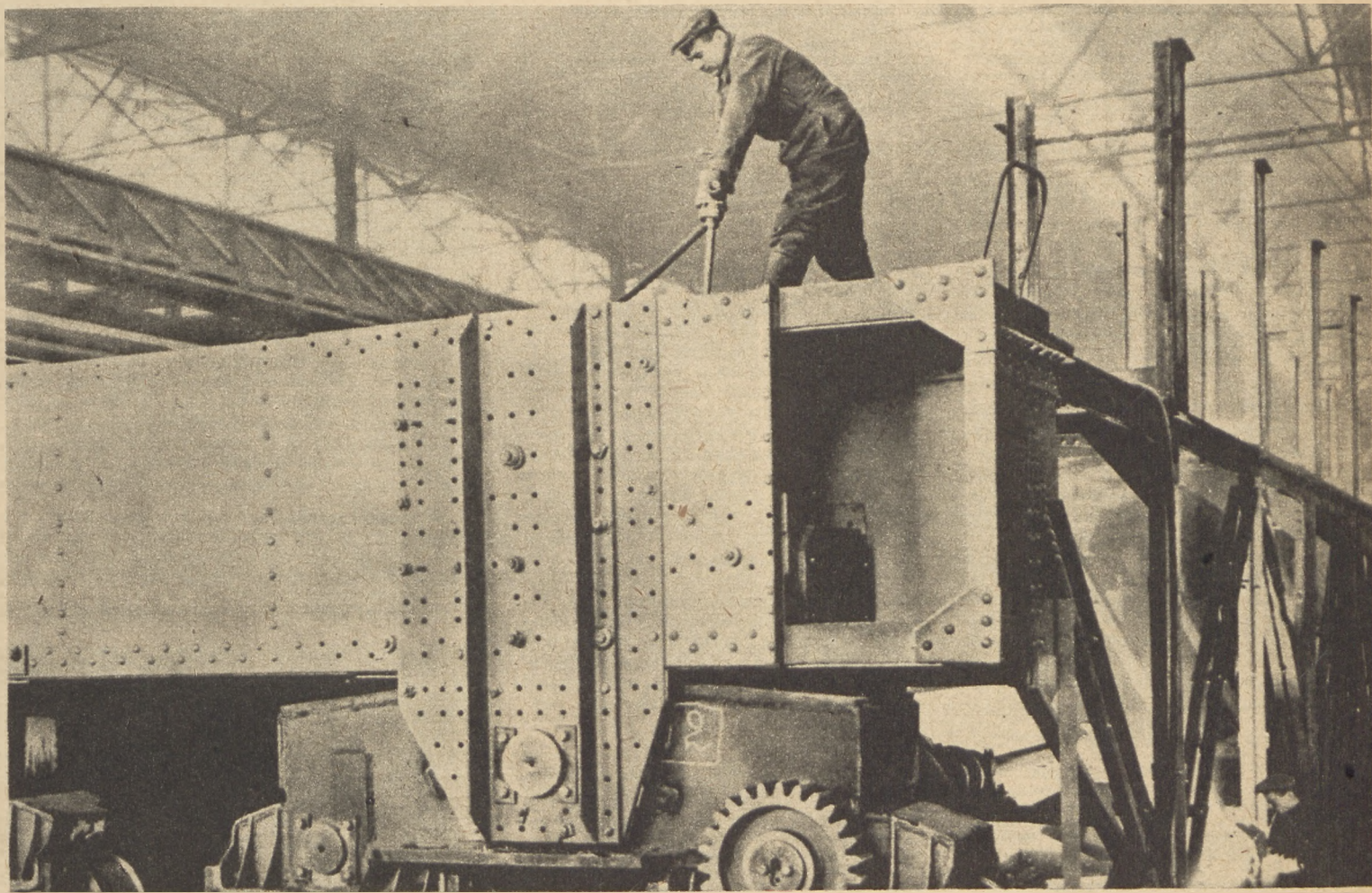
Zdjęcia: M. Graczew („Sowietskij Sojuz“) i I. Bondarienko (TASS)



przed wystaniem na miejsce pracy. było użyć 2 pociągów towarowych.



stalowej na zimno. Walce zakładów są wydajniejsze od amerykańskich.



Montaż wielkiej suwnicy o nośności 300 ton. Przy produkcji suwnic racjonalizatorzy Nowo-Kramatorska zastosowali nową metodę spawania wielkich bloków metalowych, co umożliwiło skrócenie czasu trwania produkcji 350-tonowych suwnic hutniczych do połowy.

pogiętego żelastwa; spod gruzów wyglądały odłamki wielkich maszyn.

Odrodzenie Nowo-Kramatorska jest jedną z piękniejszych kart historii odbudowy Zagłębia Donieckiego. Kiedy front wielkiej wojny zbliżał się do Włsy — z hal montażowych odbudowanej „fabryki fabryk“ wychodziły już maszyny dla radzieckich przedsiębiorstw przemysłowych. W ciągu kilku lat zakłady zostały rozbudowane, unowocześnione, otrzymały wiele cennych urządzeń.

Dziś w Nowo-Kramatorsku pracują młoty, którymi można kuć odlewy ważące do 200 ton. Pracują obrabiarki, na których można skrawać części o średnicy ponad 10 metrów — większe, niż dwupiętrowa kamienica!

W halach fabrycznych zakładów pracują dziesiątki maszyn o nowej, oryginalnej konstrukcji. Dzięki nim można w Nowo-Kramatorsku wykonać wiele części o potężnych rozmiarach i wielkiej precyzji, jak ogromne koła zębate czy wały turbin. Niektóre z tych maszyn zostały w zakładach im. Stalina zastosowane po raz pierwszy w świecie.

Zakłady nowo-kramatorskie produkują między innymi maszyny wyciągowe do kopalń — takie, które potrafią dwunastotonowy ciężar podnosić z szybkością pociągu pośpiesznego. Produkują walcownie-zgniatacze. Produkują koparki różnych typów, młoty parowe, suwnice, części turbin. Jeszcze kilka lat temu pe- wien koncern amerykański był monopolistą w dziedzinie produkcji walców do wytwarzania na zimno cienkich blach stalowych. Dziś walcze produkcji zakładów im. Stalina mają niemal dwa razy większą wydajność od amerykańskich.

Sześć lat temu dotarły do Nowo-Kramatorska pierwsze wieści o moskiewskich i leningradzkich mistrzach szybkościowego skrawania, o nowych możliwościach obrabiarek. Tokarze i frezerzy zakładów spróbowali także skrawać na wielkich szybkościach — rezultaty były zachęcające. Dziś szybkościowe skrawa-

nie jest w Nowo-Kramatorsku powszechną formą pracy: tylko w ciągu 1951 roku zaoszczędzono dzięki tej metodzie 120 tysięcy roboczogodzin — to tyle, jak gdyby zakłady uzyskały kilkadziesiąt nowych obrabiarek.

CYMLAŃSKIE ZAMÓWIENIE

W ubiegłym roku zakłady otrzymały pilne zamówienie — wykonania czterech jedenastometrowych statorów dla turbin Cymlańskiej elektrowni wodnej. Zamówienie było niewątpliwie zaszczytne, ale termin był niesłychanie krótki: 9 miesięcy. Inżynierowie gorąco dyskutowali nad możliwością wykonania statorów na czas. Przy zwykłych metodach produkcji wydawało się to wątpliwe.

I oto inżynier Docenko, kierownik produkcji, wpadł na pomysł wykonania części statora z oddzielną i połączenia ich przy pomocy spawania. W porozumieniu z Instytutem Spawalnictwa wniosek został przyjęty. W trakcie pracy uczeni razem z robotnikami opracowali metodę automatycznego spawania bloków metalu grubości 180 milimetrów — metodą nieznaną dotąd nigdzie.

Statory dla turbin pierwszej budowl komunizmu zostały wykonane w niespełna siedem miesięcy. A naukowcy, inżynierowie i robotnicy rozszerzyli nową metodę — opracowali sposoby spawania wielkich odlewów z odlewami, z częściami kutymi i walcowanymi. Między innymi dzięki nowej metodzie zakłady w Nowo-Kramatorsku produkują suwnice dla hut o nośności 350 ton dwa razy szybciej, niż przy zastosowaniu dotychczasowych metod.

W ostatnich latach wspaniale rozwija się w zakładach ruch instruktorów-ochotników. Są to ludzie o wysokiej świadomości budowniczych komunizmu, robotnicy, którzy znakomicie opanowali procesy technologiczne i swoją wiedzę nie ustępują wiele inżynierom. W godzinach wolnych od pracy stają oni przy warsztatach początkujących robotników, poznają ich z najnowszymi, najra-

cjonalniejszymi metodami pracy, podciągają do poziomu stachanowców. Takich instruktorów ochotników jest w zakładach ponad dwustu.

OSTATNIE SŁOWO

Doskonała baza techniczna, wysoki poziom fachowy i wyrobienie społeczne załogi umożliwiają zakładom im. Stalina rozwiązywanie coraz bardziej skomplikowanych problemów technicznych.

Jednym z takich problemów było zbudowanie koparki gąsienicowej o czepaku pojemności 15 metrów sześciennych — maszyny wydajniejszej, niż słynna koparka krocząca „ESz-14/65“ zbudowana na Uralu. Nowo-kramatorskie zakłady zbudowały tę maszynę. Waży ona 1050 ton, ma wysokość siedmiopiętrowej kamienicy, porusza się na czterech wózkach-gąsienicach, posiada 44 motory elektryczne o łącznej mocy sześciu tysięcy kilowatów. Pożera ona tyle energii elektrycznej co niewielkie miasto, ale wykopuje ziemi więcej, niż by to zdołała zrobić cała ludność takiego miasta.

Koparka-gigant nie jest jeszcze ostatnim słowem załogi Nowo-Kramatorska. Uczni radzieccy projektują jeszcze większe maszyny — o czepaku pojemności 25, 40 i 50 metrów sześciennych.

To zresztą nie wyczerpuje w najmniejszym stopniu perspektyw „fabryki fabryk“. W projekcie dyrektyw dla nowej pięcioletki radzieckiej czytamy między innymi:

„Zwiększyć produkcję przemysłu budowy maszyn i obróbki metali w ciągu 5-lecia w przybliżeniu dwukrotnie“.

I w innym miejscu:

„Wykorzystać rozbudowę istniejących przedsiębiorstw jako niezwykle ważne rezerwy zwiększenia produkcji...“

Słowa te — to drogowskaz, wskazujący kierunek dalszego rozwoju i rozbudowy wielkiej kuźni komunizmu — zakładów imienia Stalina w Nowo-Kramatorsku.



Wykończanie czepaka koparki o pojemności 15 metrów sześciennych. Czepak ten waży 23 tony.

8 LAT ROZWOJU POLSKIEGO FILMU

Festiwal filmu polskiego trwa przez cztery tygodnie. W tym czasie we wszystkich większych miastach wyświetlane są programy, dające przegląd naszej produkcji powojennej. Pokazano filmy fabularne: „Zakazane piosenki”, „Stalowe serca”, „Ostatni etap”, „Ulica Graniczna”, „Skarb”, „Za wami pójdą inni”, „Dom na pustkowiu”, „Czarci żleb”, „Miasto nieujarzmione”, „Dwie brygady”, „Warszawska premiera”, „Pierwszy start”, „Zaloga”, „Gromada”, „Pierwsze dni” i „Młodość Chopina” — obok tego wyświetlane są filmy dokumentarne: „Szeroka droga”, „Częstochowa”, „Mazowsze”, „Dzielo mistrza Stwoża”, „Pokój zdobędzie świat” oraz kilka innych.

ZYGMUNT KALUŻYŃSKI

W „HISTORII powszechnej filmu” napisanej przez George Sadoul'a, jednego z najpoważniejszych dziś dziełopisów tej sztuki, czytamy w przypisku u dołu strony, że „film polski przed rokiem 1939 był wyłącznie nacjonalistyczny”. Historyk nie uważał, że tematowi temu należy poświęcić więcej miejsca — w grubej, wielostronicowej książce, gdzie obszernie omawia dzieje sztuki filmowej Danii, Szwecji, Meksyku i innych narodów mniej licznych niż Polska.

Ale w ostatnich rozdziałach swej książki, traktując o filmie po roku 1945, Sadoul nie umieszcza już wiadomości o polskiej produkcji w dwuwierszowym odsyłaczu. Pisze natomiast o „rewelacji polskiej”, a „Ostatni etap” uważa za jeden z najważniejszych filmów pokazanych po wojnie. (Książka ta wyszła w roku 1948).

Film przed wojną musiał się opłacać: publiczność zaś, spragniona rodzimej produkcji, obdarzała „własne” filmy olbrzymim kredytem. Do filmów o tematyce pseudo-patriotycznej szybko dołączono posmakce erotyzmu. Przykładem najbardziej typowym jest „Uroda życia”: podczas rewizji u działacza konspiracyjnego, którego grał efektowny amant, Brodniewicz, córka generała, piękna Nora Ney, ukryta w sąsiednim pokoju rozbiera się i częściami garderoby nakrywa potajemną maszynę drukarską. Oficer, prowadzący rewizję, rozpoznawszy córkę wysokiego dygnitarza, woli przerwać poszukiwania. Działacz dziękuje dziewczynie (w koszulce tylko) za uratowanie, rzucając się sobie w objęcia...

Był to jeszcze gatunek najszlachetniejszy; film niby patriotyczno-erotyczny popierany był przez władze, można było otrzymać subsydium na jego realizację pod warunkiem, że ukazani w nim działacze i syberyjcy zesła-

Opinia Sadoul'a odtwarza w oczach wnikliwego obserwatora rewolucję, jaką dokonała się w filmie polskim w ciągu ostatnich lat. Produkcja nasza wyszła z zaułka na otwartą drogę.

Pseudo-patriotyzm, erotyzm, „humorek”. — Te trzy hasła wyczerpują przedwojenną twórczość filmową polską. Była ona finansowana przez spekulantów, traktujących film jako źródło dochodu. We wspomnieniach swoich L. Brun, publicysta filmowy sprzed wojny, opowiada, jak nakręcając „Wierną rzekę” według powieści Zeromskiego, producent postanowił namalować wnętrze pałacu hrabiowskiego na płótnie, by zaoszczędzić na meblach, i dopiero reżyser z trudem mu to wyperswadował. Co by ów wytwórca powiedział, gdyby usłyszał, że do „Młodości Chopina” sprowadzono wiele wagonów mebli stylowych ze wszystkich zakątków Polski?

cy, rozkochujący w sobie córki policmajstrów, okazał się na końcu legionistami, entuzjastami „komendanta” i prekursorem sanacji. A obok tego film „rozrywkowy”, humorystyczny, rymotkowy, wypełniony płaskimi żartami, gupawymi śpiewkami, stojący na graniicy pornografii, np. „Ada, to nie wypada” — historia dobrze wychowanej panny, zachowującej się zgoła nie jak osoba z pierwszorzędnymi zasadami — co już samo przez się miało być źródłem zabawy — film okraszony na dodatek żarcikami w rodzaju „piszczące siedzenie”. Mianowicie Fertner, grający rolę ojca swawolnej Ady, przyjmował wizyte eleganckich pań, ale na jego fotelu porzucono w pośpiechu zabawkę — gumowego, piszczącego misia. Ilekroć papa ślał, słychać było dwuznaczny dźwięk i biedny Fertner zrywał się zakłopotany tyle razy, aż jedna z dam z namaszczeniem to skomentowała: „Pan powinien się leczyć...” To były szczyty humoru filmowego w przedwojennym wydaniu.

„Szmirra” (melodramatyczna scena, gdy partyzant gra na organkach nad grobem poległego towarzysza), „Kadzido” (entuzjastyczne wypowiedzi filmowców na temat własnego dzieła), „Złoto” (tłum stęskniony za polskim filmem, cisnący się do kasy).

Po długich sporach film został przerobiony — w ten sposób po raz pierwszy w dziejach naszej kinematografii, opinia wpłynęła na powstanie dzieła filmowego.

„Zakazane piosenki” w drugiej wersji były jakby wspólnym dziełem widzów i reżyserów: film odtwarzał klimat lat okupacyjnych, gdy piosenka wyrażała nadzieję zwycięstwa i towarzyszyła krok w krok zdarzeniom tych lat tragicznych.

Film daje obraz społeczeństwa. Oto nowe hasło, które zdecydowało o obliczu naszej kinematografii po wojnie i dzięki któremu film nasz wszedł w najlepszy okres swoich dzieł dotychczasowych. Spory na temat „Zakazanych piosenek”, nie poszły na marne. Ukształtowało się nowe podejście do filmu. Szło tu o wykonanie zamówienia narodowego, które można by streścić: „pokazać codzienny wysiłek społeczeństwa, jego walkę i pracę, jego nowe idee i odrodzenie”.

Realizując to hasło, film polski stwarza szereg pozycji, które już dziś, po paru latach, są historycznymi dokumentami burzliwych lat powstawania Polski Ludowej.

„Skarb”. Pierwsza po wojnie komedia, odtwarza nastrój Warszawy, podnoszącej się z ruin. Żywotność i pogoda mieszkańców stolicy staje się tu motorem monumentalnej odbudowy, przygotowanej przez cały naród.



„Ostatni etap”. „Ulica Graniczna”. Te dwa filmy opowiadają światu o dwóch największych zbrodniach, popełnionych na ziemiach polskich w ciągu jego dziejów: o hitlerowskich obozach koncentracyjnych i o zagładzie getta. „Ostatni etap” przyniósł sławę polskiemu filmowi za granicą; prasa francuska przyjęła go entuzjastycznie. Historyczne fakty pokazane zostały po raz pierwszy w filmie wobec opinii światowej. Groza ich przerastała wyobraźnię widzów na Zachodzie. Działała poza tym także niechęć do patrzenia strasznej prawdy w oczy, cechująca reakcyjne koła na Zachodzie. Prasa burżuazyjna Anglii zarzucała reżyserowi „Ulicy Granicznej” — „fantazjowanie, celem wywołania efektów dramatycznych”.

„Za wami pójdą inni” — to konspiracja i Warszawa walcząca. Dzieje potajemnej drukarni, historia zamachu Gwardii Ludowej na Cafe-Club są tematem filmu, ukazującego walkę konspiracyjną tak, jak ona wyglądała dzień po dniu, w życiu najzwyczajniejszych ludzi, którzy stali się bohaterami boju wyzwolenczego.

„Dwie brygady” — to historia powstania sztuki, będącej obrazem życia klasy



robotniczej. Dyskusja na temat nowej, ludowej kultury stanowiła temat filmu, ukazującego jak robotnicy w rozmowach z aktorami, przygotowującymi sztukę z ich życia, wpływają bezpośrednio na kształtowanie się nowego teatru.

„Czarci Żleb” — film o życiu Wojsk Ochrony Pogranicza. Po raz pierwszy na ekranie polskim oglądamy typ nowego żołnierza strzegącego ludowego państwa w przyjaźni i przymierzu z sąsiadami Czechosłowakami. Jest to zarazem film „z przygodami”, gdzie walka z przemytnikami, usiłującymi wywieźć za granicę bezcenne skarby sztuki, na tle pokrytych śniegiem gór, staje się pasjonującym tematem nowego romantyzmu.

„Zaloga” — „Pierwsze dni” — „Gromada”. „Zaloga” — kolektyw marynarzy kształtuje charakter nowego człowieka; „Pierwsze dni” — dzieje utrwalania zdobyczy klasy robotniczej od pierwszej chwili wyzwolenia; „Gromada” — chłopci wbrew





kułakowi budują młyn spółdzielczy. Na trzech rozmaitych odcinkach życia film pokazuje tu jedną sprawę: formowanie się nowego społeczeństwa.

„Premiera Warszawska” — „Młodość Chopina” — odtwarzają tradycje naszej kultury w wielkich inscenizacjach historycznych. Dwa filmy, rezultat imponującego wysiłku — nowe spojrzenie na przeszłość kulturalną. Moniuszko, wyrażający w swej muzyce bunt przeciwko krzywdzie ludu, Chopin, przetwarzający piosenkę mazowiecką na sztukę należącą do Panteonu ludzkości. „Młodość Chopina”, pełen dynamiki, patosu obraz ruchów rewolucyjnych epoki romantyzmu, staje się sukcesem międzynarodowym.

Osiągnięcie artystyczne „Młodości Chopina” stanowi ważną datę naszego filmu: wykluwa się styl filmowy, który można określić jako polski. Oglądamy tu bohatera — wielkiego muzyka — którego losy są jakby wykładnikiem dziejów narodowych; nie interesują nas, jako prywatna anegdota, ale jako przykład typowego zachowania się Polaka-patrioty w ważnej dla narodu epoce. To samo da się powiedzieć



o wielu innych filmach polskich, np. o „Pierwszych dniach”, gdzie na przykładzie bohatera filmu widzimy narastającą świadomość robotników w pierwszych latach po wojnie.

W najlepszych naszych dziełach filmowych widzimy wyzyskanie doświadczeń filmu radzieckiego, z jego patosem społecznym, bohaterem zbiorowym, bohaterem typowym. Temu stylowi wiele zawdzięcza Aleksander Ford, autor „Ulicy Granicznej” i „Młodości Chopina”, oraz Wanda Jakubowska, reżyser „Ostatniego etapu”. Wpływy postępowego filmu francuskiego, z jego intymną obserwacją życia, zamiłowaniem do szczegółu obyczajowego i pointe'y literackiej, zaznaczają się wyraźnie w twórczości Bohdziewicz („Za wami pójdą inni”) i Rybkowskiego („Dom na pustkowiu”, „Premiera Warszawska”). Korzystając z doświadczeń innych, film polski wypracowuje jednak własny styl. Jesteśmy świadkami jego krystalizacji. Przynieś on nam wiele jeszcze coraz doskonalszych dzieł.



„WIĘZIENIE” W WERL

JEST w Westfalii niewielkie miasteczko, które nazywa się Werl. Ta miła, pełna zieleni miejscina znana jest ze swych kąpeli leczniczych i cieszy się sławą popularnego miejsca kuracyjnego. Obok klasztoru Franciszkanów i paru zabytkowych kościołów wznosi się tu okazałe więzienie, w którym 135 zbrodniarzy wojennych odsiadywa „karę”. Jak wygląda ta „kara”?

Feldmarszałek von Mannstein, który na czele swych hord palił wsie polskie i rosyjskie i który kazał masowo mordować bezbronnnych jeńców radzieckich, pragnie zachować dobrą formę fizyczną i codziennie rano zabawia się... skakanką. Generał Mackensen, z nieodłącznym monoklem w oku i z niewinną miną dobrotliwego starszego pana, pieczołowicie pielęgnuje pomidory w ogródku. Generał von Falkenhorst, bezlitosny kat Norwegii, niezadowolony jest ze swego nowego garnituru i sprzecza się z nadwornym krawcem, który ubiera swych klientów według najnowszej mody. Generał Kurt Gallenkampf, skazany na karę śmierci za masowe mordowanie jeńców wojennych, chętnie grywa w bridża z godnymi siebie partnerami: generałem Simonem i feld-

I znowu drapieżne postacie zbrodniarzy wojennych pochylają się nad mapami sztabowymi i nad planami nowych agresji. Spadkobiercy Hitlera są w swoim żywiole, wykorzystują swą wiedzę i doświadczenie, aby zadowolić amerykańskich mocodawców. W kołach dobrze poinformowanych twierdzą, że niektóre lotnicze działania wojsk amerykańskich w Korei zostały dokonane ściśle według planów przygotowanych w Werl.

Oryginalni „więźniowie” utrzymują także ożywione stosunki ze sferami politycznymi. Stale kontaktują się z generałem Manteufflem, jednym z twórców ruchu neo-hitlerowskiego, z ambasadą generała Franco w Bonn i z przedstawicielami odradzającego się Wehrmachtu. Były wódz SS, Meyer, nie tak dawno odbył dłuższą rozmowę z generałem Gille z „Soldatenbund” (główna wylegarnia kadr Wehrmachtu w zachodnich Niemczech).

To wszystko, co się dzieje w Werl, ukazuje raz jeszcze prawdziwe oblicze polityki amerykańskiej, która nie waha się używać zbrodniarzy wojennych, aby realizować swe plany agresji.

W. H.



Oto „biedny więzień” Kesselring w wersji neo-hitlerowskiego piśmiidła „Die Deutsche Soldatenzeitung”...

marszałkiem „Luftwaffe” Kesselringiem, burzycielem miast polskich i krwawym oprawcą narodu włoskiego. Generał Meltzer natomiast wykorzystuje swe handlowe zdolności i fabrykuje małe żelazne krzyżyki, które następnie sprzedaje pobożnym.

Przy jadalnym stole, zastawionym porcelaną, służy mu generałom i marszałkom dwóch ordynansów w randze podoficerów, którzy, baczni na każde skinienie biesiadników, podają swym szefom potrawy przyrządzane przez fachowych kucharzy. Ażeby „biednym” więźniom nie zbywało na niczym, krewni oraz wierni wyznawcy Hitlera nadsyłają do więzienia liczne paczki. Jak wyglądają te „paczki” świadczy wymownie fakt, że w zeszłym roku na Boże Narodzenie Kesselring otrzymał około 60 przesyłek, wśród których znajdowały się pięćdziesięciokilowe skrzynie.

Więzienie w Werl robi wrażenie raczej jakiegoś eleganckiego hotelu, aniżeli miejsca, gdzie odbywają karę krwawi zbrodniarze. Tapczany, miękkie, wyściełane fotele, dywany na podłogach, biblioteki, stoliki bridżowe, radio — wszystko to uprzyjemnia życie hitlerowskiemu generałom. Warto także dodać, że mogą oni przyjmować u siebie wizyty krewnych i przyjaciół oraz że regularnie otrzymują urlopy z więzienia. Ostatnio Kesselring, jak wiadomo, otrzymał urlop zdrowotny i udał się na kurację do Bochum.

Czemu zawdzięczają zbrodniarze wojenni tego rodzaju traktowanie? Fakty same dadzą odpowiedź.

Niedługo po wizycie w Werl pułkownika Vickersa, który dołożył wszelkich starań, aby uprzyjemnić hitlerowskiemu generałom pobyt w więzieniu, odwiedził Kesselringa amerykański oficer sztabowy, major Novrocky, który odbył z marszałkiem długą, poufną rozmowę. W wyniku tej konferencji Kesselring oświadczył swym kolegom, że władze amerykańskie uważają ich za godnych współpracowników i że postanowiły powierzyć im wykonanie pewnych zadań.



...a tak wygląda w rzeczywistości: zdrowo i wesoło spędza urlop w Bochum.

ZYCIORYS WŁASNY RENEGATA

PANOWIE MAGNACI W HOTELU „ADLON“

Program miał zresztą, obok pp. Piłsudskiego i Studnickiego oraz żarłocznych „Wszechniemców“, jeszcze paru zwolenników. Niechaj p. Studnicki nie próbuje dziś stwarzać legendy, że to on był głównym i jedynym motorem ówczesnej kolaboracji. To nieprawda. Byli i inni. Wielu z nich nie żyje i nie może się upomnieć o swe prawa. Choćby Piłsudski. Ale są dokumenty, które zadają kłam monopolistycznym zapędom p. Studnickiego. Są zresztą spadkobiercy polityczni tych, co pomarli. Żyją nadal ich politycznym spadkiem i rozwijają go, jak mogą i umieją. Jeżdżą do Bonn, jak tamci do Berlina (i, potem, do Berchtesgaden). I słowa ich brzmią dziś, jak wierne echo tamtych czasów.

Ze wspomnimy choćby księcia Franciszka Radziwiłła. P. Studnicki łaskawie przyznaje mu niejaki udział w wydarzeniach tamtych lat. Ale książę Franciszek Radziwiłł nie był bynajmniej takim sobie tylko totumfactum p. Studnickiego. Miał wygórowane ambicje polityczne i w Berlinie czuł się jak u siebie w domu, czemu nie należy się dziwić, jako że był skuzynowany z samym domem Hohenzollernów. Ale Książę Pan bywał w Berlinie nie tylko jako kuzyn cesarskiego domu, ale i jako samozwańczy rzecznik „narodu polskiego“. Tak samo zresztą jak i p. Studnicki. I oto, co Książę Pan raczył przy tej okazji mówić.

5 października 1916 roku (na miesiąc przed proklamowaniem marionetkowego „Nebenstaatu“ polskiego, zwanego wtedy ironicznie „królestwem beselerowskim“) zgromadziło się w hotelu „Adlon“ w Berlinie bardzo wytworne towarzystwo. Byli tu pp. von Willamowitz, Moellendorf, Naumann, prof. Jaekel i inni przedstawiciele reakcyjnych kół politycznych Niemiec, tudzież grupa równie reakcyjnych berlińskich dziennikarzy. Dla tego to właśnie towarzystwa wygłosił odczyt „O stosunku Polski do Nie-

2 Dokończenie rozdziału z pracy STEFANA ARSKIEGO p. t. „TARGOWICA LEŻY NAD ATLANTYKIEM“, która ukaże się wkrótce nakładem „Książki i Wiedzy“.



Zdjęcie powyższe ma bardzo swoistą wymowę historyczną. Obok pruskich komisarzy przy TRS — hr. Lerchenfelda (1), hr. Hutten Czapskiego (2) i Zychlińskiego (3) stoją również komisarze austriaccy, a wśród nich kpt. Iszkowski (4). Ten sam, który był szefem placówki wywiadowczej H.K.-Stelle we Lwowie i przekazał swemu koledze, kpt. Rybakowi w Krakowie, swego konfidenta Piłsudskiego. I oto agent (5) znalazł się znowu u boku swego szefa...

miec“ książę Franciszek Radziwiłł. Mówił:

„My, Polacy, wiemy, że Poznańskie stanowi część Niemiec i część Niemiec stanowić będzie po wsze czasy. Nie myśleliśmy o tym wcale, by z ciała naszego oswobodziciela kawał dla siebie wykrajać i nie potrzebujemy nawet o tym myśleć, nasi bowiem rodacy, zamieszkujący poza granicami przyszłej Polski (tzn. właśnie Polacy w zaborze pruskim — przyp. nasz) mogą przy pewnej względności czuć się szczęśliwymi, skoro ich aspiracje zostaną zaspokojone w Polsce... Żywiąc to przekonanie, nawet najzaciętszy Polak może się czuć spokojnym“.

Tak to Książę Pan scedował łaskawie pół Polski Prusakom i raczył uznać, że „nawet najzaciętszy Polak może się czuć przy tym spokojnym“.

Wśród gości, hucznie oklaskujących wspaniałomyślność ks. Radziwiłła, znajdowali się także panowie Stanisław hr. Łącki i „Hofrat“ Zychliński. Pan hrabia Łącki był jednym z większych obszarników w Poznańskim i słynął z zamiłowania do samochodów. W owych czasach był to jeszcze sport bardzo arystokratyczny i godność prezesa Automobil-klubu, którą potem szczycił się pan hrabia, znaczyła tyle, co przynależność do Klubu Myśliwskiego. Herr Zychliński miał mniej może arystokratyczne upodobania, ale za to znacznie solidniejsze podstawy majątkowe. Był akcjonariuszem i prezesem Banku Cukrownictwa, prezesem Poznańskiego Ziemstwa Kredytowego i udziałowcem wielu firm i przedsiębiorstw przemysłowych. U pruskich władców kraju cieszył się nie lada zaufaniem, skoro mianowali go potem jednym z trzech niemieckich komisarzy Tymczasowej Rady Stanu. Dwaj pozostali, to hr. Hutten Czapski i hr. Lerchenfeld. Wszystkich trzech łączyła ścisła i harmonijna współpraca.

Rozumiemy więc teraz, czemu pan hrabia Łącki i herr Zychliński tak się entuzjazmowali wystąpieniem księcia Radziwiłła w hotelu „Adlon“. Bardzo sobie po prostu wszyscy chwalili pruskie panowanie. I pragnęli, by berło Hohenzollernów jak najdłużej osłaniało ich folwark i cukrownie.

KSIĄŻĘ PAN I USŁUŻNA SWITA

Ale ta hojna ofiarność wobec pangermańskiego imperializmu nie ograniczała się bynajmniej do samych tylko jaśnie panów Radziwiłłów, Łąckich, Ronikierów, Zychlińskich, Stadnickich i Studnickich. O, nie. Trochę się już panowie magnaci byli zmodernizowali i „demokracji“, panie dzieju, liźnęli. Jak to tam mówią, że „jeden tylko, jeden cud, z polską szlachtą polski lud“. Więc pilnie już baczili, żeby tego „ludu“ gdzie trzeba nie zbrakło i żeby też się wypowiedział. I wypowiedział się, a jakże, że aż panowie głową z zadowolenia kręcili.

Znaleźli się przecież patentowani „przedstawiciele ludu“. Poprzednicy dzisiejszych WRN-owców. Krew z krwi i kość z kości.

Pan Jodko Narkiewicz, jeden z głównych ideologów ówczesnej PPS, coś jakby Zaremba tamtych czasów, równie gładko odstępował Poznańskie i Śląsk, jak sam książę Radziwiłł. W książce pt. „Deutschland und Polen“ pisał:

„Zaden trzeźwy polityk nie oczekuje

Do ludności Jeneralnych Gubernatorstw warszawskiego i lubelskiego

Niemieckie sprzymierzone siły: Austro-Węgry, Niemcy i ich podległe państwa, walczyły z siłami polskimi, wywołując w polskim państwie wieloletnią ciemnotę i ciemnotę. Wierzymy, że w ten sposób odwrócimy sytuację i że, dzięki temu, Polska będzie żyła i prosperowała.

Polska i niebezpieczeństwo tych ciężkich chwil wojennych i trudna o przyszłość, która nas czeka, wymaga od nas, abyśmy wzięli udział w tym wielkim przedsięwzięciu. Chcemy, abyście wyrazili swoją gotowość do współpracy z nami i do pomocy nam w tym wielkim przedsięwzięciu. Chcemy, abyście wyrazili swoją gotowość do współpracy z nami i do pomocy nam w tym wielkim przedsięwzięciu.

Przedstawicielom ludu i ludności

Wojsko Polskie.

Jeneral-Gubernator
v. Beseler.

Jeneral-Gubernator
Kuk.

Odezwa generałów Beselera i Kuka, proklamująca utworzenie marionetkowego „Królestwa Polskiego“. Cel tej szopki widoczny jest z samego tekstu odezwy. Chodziło o rekrutę dla armii pruskiej i dlatego odezwa wzywała Polaków do zaciągania się w szeregi „Wojska Polskiego“. Odpowiedzią był powszechny bojkot werbunku do tej „Polnische Wehrmacht“.



PANOWIE MAGNACI Z HOTELU „ADLON“
Ks. Fr. Radziwiłł, Hr. Łącki, Hofrat Zychliński.

poważnie wyrzeczenia się przez zwycięskie Niemcy lub Austrię części swoich posiadłości na rzecz Polski... W każdym bądź też razie nikt tego nie będzie żądał".

Teoretyczny organ ówczesnej PPS, „Przedświt”, komentując uchwały XII Zjazdu swej partii, pisał w tym samym duchu:

„Ani od Austrii ani od Niemiec siłą brać niczego nie chcemy...”

Wtórował krakowski „Naprzód” 20 października 1916 roku:

„Poznańskie wyłączyliśmy z programu urzeczywistnienia naszych dążeń”.

Pisane to było w latach 1916 i 1917 przez Jodków, Haeckerów i Moraczewskich w „Przedświtach” i „Naprzodach”, a brzmi przecież jak gdyby to dziś pisali Arciszewscy, Kwapińscy i Zarembowie w „Światłach” czy „Robotnikach Polskich w W. Brytanii”. Taka jest ciągłość tego zdradzieckiego nurtu w polityce rzeczników interesu polskiej burżuazji. Tak głęboko w przeszłości tkwią korzenie zdrady!

MIKOŁAJCZYK TAMTYCH CZASÓW

Gdy się śladem autobiografii Studnickiego zagłębia w tamte lata, nasuwają się analogie wręcz zdumiewające. Miały te czasy nie tylko swoich Arciszewskich, Zarembów i Zaleskich, Andersów, Mackiewiczów i Mieroszewskich. Miały nawet swego Mikołajczyka! Nazywał się Zawadzki, był kułackim działaczem chłopskim na usługach imperialistów pruskich i założył nawet własny „Narodowy Związek Chłopski”. Prowadził wśród chłopów propagandę za ugodą z niemieckim okupantem i posyłał Beselerowi memoriały, których by się sam Studnicki nie powstydził. I za jego wzorem zwołał kiedyś (26 listopada 1916 roku) wiec w warszawskiej Filharmonii, zamierzając uczestników zaprowadzić potem wiernopoddanym pochodem do rezydencji Beselera. Ale sprawy wzięły kiepski obrót. Chłopi poturbowali mówcę i opuścili salę. Grupa zaś jego zwolenników rozsypała się po ulicach. Zawadzki dorożką wyruszył do siedziby Beselera, ale audiencji nie uzyskał. Gubernator nie rozmawiał z facetami, którzy dali się obić. Studnicki co innego. Ten do spółki z piłsudczykami bił przeciwników kolaboracji. Oczywiście do czasu. Potem i jemu naruszono parę zębów na warszawskiej ulicy. O tym w biografii nie ma ani słowa. A szkoda.

Nie żądamy jednak od jej autora zbyt wiele. Autobiografia p. Studnickiego ułatwiła nam odbycie małej wycieczki w przeszłość. Stała się pomostem między dawnymi a nowymi czasami. Jej autor, niezupełnie zresztą mimo woli, obnażył korzenie obecnej polityki emigracyjnej. Dla niego przecież te korzenie są legitymacją wobec Bonn.

FREIHERR I RITTER

Nie wszyscy jednak działacze emigracyjni muszą się uciekać aż do takiej autoreklamy. Niektórzy są w sytuacji



Nieudana impreza kolaborantów: 26 listopad 1916: chłopi poturbowali ówczesnego Mikołajczyka i opuścili salę Filharmonii.

szczęśliwszej. Reklamę robią im niemieccy rewizjoniści z własnej woli.

Tak jak to np. czyni znany nam już prof. Bolko Freiherr von Richthofen w stosunku do swego „polskiego przyjaciela” prof. Oskara Haleckiego*). W tygodniku rewizjonistycznym „Der Schlesier”, noszącym beczelny podtytuł: „Breslauer Nachrichten” (Wiadomości Wrocławskie) z dn. 15 lipca 1952 roku pisał Freiherr von Richthofen:

„Jeden z moich dalekowzrocznych rozmówców, w świecie zachodnim bardzo

*) Ob. „Świat” nr 33 z dn. 17 VIII, br. str. 21: „Freiherr von Richthofen i Ritter von Halecki”.

poważany polski działacz emigracyjny z Anglii, wyraził się w tym roku, że jest zupełnym absurdem (podkr. oryginału) domagać się dla Polski obszarów, które od 700 lat należały do Niemiec... W tym samym duchu ostrzegał swych rodaków już w roku 1945 najwybitniejszy z żyjących historyków polskich, prof. Oskar Halecki... na łamach znanego czasopisma amerykańskiego „Revue of Politics”..“

Prof. Halecki zasłużył się dobrze niemieckim rewizjonistom, uznając ich „historyczne prawo” do polskich Ziemi Zachodnich (taki on też jest „historyk”). Nie po raz pierwszy zresztą. Bo za cza-

sów beselerowskich, o których tyle tu mówiliśmy, prof. Halecki należał do grona najzarliwszych kolaborantów i wraz ze Studnickim, Piłsudskim czy Radziwiłłem głosił hasło utworzenia „państewka buforowego” (Pufferstaat), czy jak wolicie „Państwa podrzędnego” („Nebenstaat), bez Poznańskiego, Śląska i Pomorza. I wtedy właśnie podpisywał swe prace jako Oskar Ritter von Halecki. I tak się znowu spotykają po latach Bolko Freiherr von Richthofen i Oskar Ritter von Halecki — pruski junkier z polskim renegatem, żywy symbol zdradzieckiego sojuszu reakcji przeciwko własnemu narodowi.



Rada Regencyjna „Królestwa”: Księżę Zdz. Lubomirski, arcybiskup Kakowski, J. Ostrowski w asyście pruskich oficerów.

fotokorespondenci

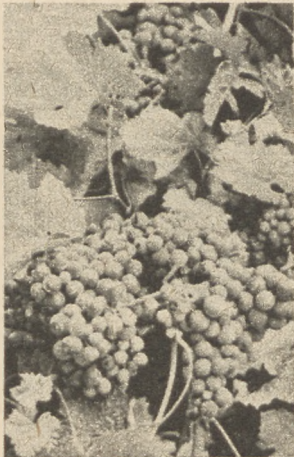
WINOGRONA DOJRZEWAJĄ NIE TYLKO NAD ODRA

Matowe, krągłe, soczyste grona zwisają z rozłożystych krzewów winnej latorośli. Nadszedł okres winobrania, radosne dni „żniw winogronowych”. Przed kilku jeszczymi laty owe „dożynki winogronowe” stanowiły wyłączną atrakcję Zielonej Góry, słynnego na cały kraj miasta winnic.

W tym roku winobrania odbywają się także i w innych częściach kraju, nad Wartą, Wisłą i Pilicą. Od kilku bowiem lat kadry techników plantacyjnych z Zielonej Góry pracują nad wyborem nowych terenów, nadających się do zakładania winnic. Zespoły botaników, geologów i agronomów, ustaliły, że obecnie, północną granicę śmiatła można przekroczyć. Stwierdzono, że należyta ciepłota i ograniczona ilość opadów atmosferycznych, a więc zasadnicze warunki niezbędne dla winorośli — cechują pas terytorialny ciągnący się od ujścia Warty przez Kutno, Grójec, ku korytu rzeki Pilicy i dalej w stronę Chełma.

Potwierdzają to także dawne zapiski kronikarskie, podające, że w dobie średniowiecza oprócz Ziemi Lubuskiej, obfitowały jeszcze w winnice okolice Torunia, szeregi osad nadwiślańskich i nadwarciańskich. W XVIII wieku w Winarach koło Warki, podobnie jak w Nowym Mieście nad Pilicą, istniały rozległe winnice. Z tych to właśnie czasów datuje się nazwa miejscowości oraz zachowane po dziś dzień ruiny lochów piwnicznych w Winarach, a także duże krzewy winne, rosnące dziko w Nowym Mieście.

Obecnie w Winarach pow-



Ten krzew dał 5 kg winogron



Na plantacjach zielonogórskich

stał nowy rejon plantacyjny, obejmujący na razie 30 ha, ale w najbliższej przyszłości winnice te zostaną powiększone i będą zajmowały ponad tysiąc hektarów powierzchni na nadbrzeżnych stokach wysokiego brzegu. Doskonała gleba, zawierająca jako podstawową substancję żółtawą glinę, pozwala już obecnie na zbieranie nawet 5 kilogramów winogron z jednego krzewu. Według zdania fachowców teren ten może wkrótce zasłynieć na całą Polskę.

Dalsze rejony to wybrzeża jeziora Gopla pod Kruszwicą, uchodzące za najsuchsze polacie naszego kraju, narzeczone wzgórza nad korytami Czarnej i Nidy w pobliżu Kielec, oraz badane obecnie obszary nadwiślańskie między Sandomierzem i Krakowem, a także okolice podwrocławskie.

SPOKOJNA STAROŚĆ

I właśnie w jednym z nich Franciszek Cielebąk znalazł opiekę.

Pałac w Ostrowie otoczony jest dużym parkiem. W cieniu starych drzew, na ławkach i leżakach, w chwilach wolnych od pracy, wypoczywają starszakiowie.

W chwilach wolnych... gdy pensjonariusze Domu Opieki dla Dorosłych w Ostrowie posiadają 16-hektarowe gospodarstwo: świnie, krowy i owce. Posiadają również duży sad, w którym zasadzono 150 nowych drzewek owocowych. Przybyły dwa nowe ule. I wszystkie te inwestycje zaprowadzono z własnych środków finansowych.

Regulamin przewiduje, że goście Domu Opieki dla Dorosłych w Ostrowie, którzy chcą pracować, mogą być zatrudnieni w różnych zawodach. Wśród pracowników w świetlicy odczyty, redaguje gazetkę ścenną, prowadzi bibliotekę.

Praca w zakładzie podzielona jest na sekcje. Nie brak wśród nich sekcji oświatowej, która co tydzień organizuje w świetlicy odczyty, redaguje gazetkę ścenną, prowadzi bibliotekę. Kolektywem Domu dla Dorosłych w Ostrowie kieruje samorząd z przewodniczącym Franciszkiem Potyńskim, z zawodu piekarzem, Julianą Smulską, nauczycielką, Marią Jankowską i Stanisławem Czajkowskim.

Największą troską samorządu zgodnie z 60 artykułem na-

uwaga ekip badawczych zwrócona jest szczególnie na rejon podwarszawski. Na podobnej bowiem glebie, w zbliżonych warunkach klimatycznych położona pod Paryżem wioska Thomery przedstawia jedną rozległą winnicę. Dobranie należytych odpornych na choroby gatunków gron, które zdały już egzamin wytrzymałości w północnych rejonach Związku Radzieckiego, pozwoli na przekształcenie osiedli podstołecznych w ośrodki plantacyjne.

Odpowiednie nawożenie gleby pod winnice, zastosowanie właściwych sadzonek i odmian, należyte przeprowadzenie cięć i zwalczanie szkodników, stworzy możliwości do zakładania winnic również w dalszych, bardziej jeszcze na północ położonych częściach kraju.

Mieczysław Turski,
Zielona Góra

szej Konstytucji jest zapewnił pensjonariuszom Domu Opieki dla Dorosłych miłą i spokojną starość.

Danuta Krempa

Efektownie urządzone wystawy zachęcają do wejścia. W środku sali, od parteru do sufitu pierwszego piętra, wznosi się baszta starego zamczyska z okrągłymi otworami strzelniczymi. Plaskorzeźby na ścianach przedstawiają sceny z bajki „Ali-Baba i 40 rozbójników”. Czujemy się jak w baśni „Z 1000 i jednej nocy”. Tu i tam przy murze umieszczono klatki z karnarkami i z małą papugą.

Na ścianach widzimy przepiękne freski. Jeden z nich przedstawia karuzele, na której bawia się w najlepszej zgodzie dzieci różnych ras i narodowości, m. in. Chińczyk, Murzyn i Indianin. Pod tym freskiem znajduje się akwarium z małutkimi złotymi rybkami. Dwa przewody niby wodotryski dostarczają świeżej wody.

Poniżej są koniki do huśtania i huśtawka, która zachwyca małych gości, zarówno śmiałych jak i bojaźliwych, chociaż w tych ostatnich wzbudza trochę lęku.

Po drugiej stronie dziecięcy salonik fryzjerski. Małe klienci czekając na swoją kolejkę siedzą na krzesłach z końskimi głowami, jak na konikach i rozkoszują się dużym, lśniącym lustrem.

Na stoliku leżą ulubione piśmka dla dzieci. Zaraz obok znajduje się stoisko z przeróż-



Gmach nowootwartego Domu Dziecka w Toruniu

nymi malowanymi i książkami dla najmłodszych czytelników.

Zabawek jest ogromny wybór: rowery, samochody, kolejki, konie na biegunach, misie, lalki, baki, piłki, kločki, budownictwo... Inne działy sprzedają konfekcje, obuwie, bieliznę dla niemowląt i dla starszych dzieci, ubranka dziecięce, wózki, torebki, tornisty.

Pomysłowy „słodki kącik”

mocno jest obleżony przez małych smakoszy.

Latwo odgadnąć, że dom, o którym pisze, to nowootwarty wspaniały „Dom Dziecka”. Ale czy wiecie, że jest on zarazem jednym z najpiękniejszych domów towarowych MHD w całej Polsce? Znajduje się w Toruniu przy ulicy Stalingradzkiej i jest pierwszym Domem Dziecka na Pomorzu.

Feliks Schwalbe — Toruń

ŁOWIMY SANDACZE

Okres odłowu sandacza przypada na koniec lata i całą jesień. W tym okresie ta smaczna ryba zapewnia żaki, (specjalne sieci, osypte na drewnianych kablakach, a stawiane na dnie łowisk), a również niewody i sieć zastawną, rodzaj plecionego parkanu.

W Zalewie Szczecińskim i na wodach jeziora Dąbskiego rybacy zająci będą dzień po dniu. Wędkarz, łowiczy spinnikiem przeżyje wiele emocji w czasie podcinania ryby, a później w czasie holowania jej do burty łodzi, a właściwie do kaszorka, siatki niezbędnej przy wyjmowaniu ryby na powierzchnię wody.

Jeszcze w czerwcu w zielonym nurcie rzek Odry i Rgi-

licy oraz samego Zalewu Szczecińskiego uwijają się swawolnie ogromne roje sandaczyków, busujących za żerem, smaczny planktonem. Przewodzący im sztuki dojrzale, uganiające się za stynkami. Bezpieczeństwo było zapewnione aż do 15 sierpnia, do czasu, kiedy sandacze nie wolno było łowić siatkami, aby tegorocznemu narybkowi dać możliwość spokojnego wzrostu.

Zalew Szczeciński z wylęgarni połowów otrzymał aż 59.350.000 sztuk ziarna zapłodnionej ikry, jeśli więc połowy dopiszą, znajdzie się dość sandacza i w gospodach ludowych i w kuchni każdej skrzętnej gospodyni.

Marian Bakota, Szczecin



zak dał dobry wynik. Okazała samica sandacza zniszczyła moc ikry



Mistrz rybacki, Władysław Szyller z Dąbia Szczecińskiego, który dostarczył do wylęgarni najwięcej niewytartych żywych sandaczy, pokazuje swemu synkowi ikry złożoną na gałkach jatowca, w sadzuch widocznych na zdjęciu

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

NASTAWIANIE DWUPUNKTOWE

Omówiliśmy już poprzednio sprawę przysłony i związanej z nią głębi ostrości. Przypomnijmy sobie dwie ważne zasady: — im większa przysłona (mniejszy otwór obiektywu), tym większa głębia ostrości,

— im bliżej aparatu znajduje się fotografowany obiekt, tym głębia ostrości jest mniejsza; odwrotnie — im większa odległość, tym szerszy jest pas, w którym wszystkie znajdujące się osoby i przedmioty są ostro wyrysowane na negatywie.

Wykorzystamy teraz praktycznie poprzednio omówione, może trochę „ciężkostrawne” wiadomości z teorii i poznamy tzw. dwupunktowe nastawianie, pozwalające na szybkie użycie aparatu, zwiększenie jego sprawności. Przy systemie tym odpada kłopot nastawiania odległości i manipulowania wskaźnikiem przysłony, również i szybkość migawki możemy dla danych warunków świetlnych ustalić na całą serię zdjęć.

Nastawienie dwupunktowe polega nie na oszczędzaniu przysłony, lecz takim jej nastawieniu, aby głębia ostrości obejmowała możliwie jak największą przestrzeń przy pewnym stałym nastawieniu metrażu. Odróżniamy przy tym dwie strefy, znajdujące się bliżej i dalej obiektywu — stąd też nazwa „nastawianie dwupunktowe”.

Przy zdjęciach bliskich odległość nastawiamy na 3 metry, przy zdjęciach dalszych — na 8 m. W obu wypadkach przysłonę nastawiamy na „11”. Szybkość migawki ustalamy zasadniczo na 1/100 sek. przy czym na plaży, na wodzie, na otwartej przestrzeni możemy czas ten skrócić do 1/200 sek., w miejscach zaś ciemniejszych, lub gdy słońce jest przysłonięte chmurami — przedłużać do 1/50. Możemy teraz całą uwagę skupić na odpowiednim ujęciu naszego tematu, uchwyceniu odpowiedniego momentu. Oko przy celowniku — naciśnięcie wyzwalacza migawki — przesunięcie filmu — i znowu jesteśmy gotowi do zdjęcia. Aparat nasz całkowicie zautomatyzował się, upodobnił do szyb-

kostrzelnej broni. Oczywiście, w dni pochmurne, reguła nasza traci wartość — przy tak znacznej przysłonie nie wystarczy już szybka migawka, naświetlać musimy dłużej, co znowu nie pozwala na fotografowanie bez statywu i uchwycenia ruchu. Rezygnujemy wówczas z dużej głębi ostrości, zwiększamy otwór obiektywu, ażeby móc zastosować szybką migawkę.

A teraz przypomnijmy sobie jeszcze zasadę głębi ostrości: jest ona zależna od długości ogniskowej naszego obiektywu. Im ogniskowa jest krótsza, tym głębia ostrości większa. W zależności więc od długości ogniskowej obiektywu, głębia ostrości przy nastawieniu dwupunktowym przedstawiać się będzie następująco:

1) Nastawienie bliskie 3 m, przysłona „11” —					
ogniskowa 5 cm, głębia ostrości od 1,9 m do 9 m	7,5	10,5	13,5	16,5	20
„ 5 cm, „ 2 m do 5,6 m	7,5	10,5	13,5	16,5	20
„ 5 cm, „ 2,25 m do 4,4 m	7,5	10,5	13,5	16,5	20
„ 5 cm, „ 2,4 m do 3,95 m	7,5	10,5	13,5	16,5	20
2) Nastawienie dalsze 8 m przysłona „11” —					
ogniskowa 5 cm, głębia ostrości od 3 m do nieskończoności	7,5	10,5	13,5	16,5	20
„ 5 cm, „ 3,6 m do 57 m	7,5	10,5	13,5	16,5	20
„ 5 cm, „ 4,3 m do 57 m	7,5	10,5	13,5	16,5	20
„ 5 cm, „ 4,9 m do 22 m	7,5	10,5	13,5	16,5	20

(Obliczenia wg. podręcznika dr Otto Croy'a)

Tak więc, mając aparat z obiektywem o ogniskowej 5 cm (jest tak w większości aparatów małoobrazkowych), przy nastawieniu na 3 m i przysłonie „11”, będziemy mieli wyrysowane ostro wszystkie obiekty znajdujące się w strefie od 1,9 do 9 metrów. Przy nastawieniu dalszym, na 8 m i tej samej przysłonie, głębia ostrości rozciągać się będzie od 3 m do nieskończoności. Przy ogniskowej 7,5 cm, w pierwszym wypadku mamy strefę ostrości od 2 m do 5,6 m, w drugim — od 3,6 do nieskończoności.

Jeżeli w naszym aparacie mamy odmienną podziałkę przysłony, zamiast na „11”, przysłaniamy obiektyw na „12,5”, przez co głębia ostrości będzie nieco większa.

„Wisła”... z ogonem

Fot.: W. PRAŻUCH

FERME tę warto obejrzyć. Pociąg zawiezie was do Olsztyna, a stamtąd jest już tylko kilka kilometrów do Liskowa, gdzie przywita was kierownik fermy, Jerzy Waydowicz.

Lisków, obok Lubiechowa na Dolnym Śląsku, należy do największych w Polsce ferm zwierząt futerkowych, ferm hodujących zarodowe okazy lisów srebrnych, często krzyżowanych z platynowymi, których futra osiągnęły najwyższe ceny i są poszukiwane w całej Europie. W Planie Sześcioletnim hodowla lisów w Polsce wzrosnąć ma wielokrotnie i już w tym roku podwojono liczbę sztuk zarodowych.

Jerzy Waydowicz należy do hodowców z zamiłowania. Nie tylko zwierchnicy, również lisy, wiedzą, że jest to najtroskliwszy ich opiekun. Sam co dzień pilnuje, aby otrzymały należną im mieszankę, składającą się z końskiego mięsa, jarzyn, zboża, owoców i otręb. Gładkie, lśniące futro zawdzięczają lisy dodawanym stale drożdżom, o których Waydowicz również nigdy nie zapomina.

Obejrzenie fermy wymaga czasu. Na widok obcych lisy kryją się w sztucznych norach z drzewa i trzeba cierpliwie czekać, aż ponownie wyjdą na przedpole, starannie odrutowane siatką. Jedynie platynowa „Basia”, zawsze łagodna i łaskawa, nie ucieka, lecz co najwyżej przyciai się z boku na chwilę, aby

wkrótce bez najmniejszego skrepowania biegać po ogrodzeniu.

Mniej łaskawa dla zwiedzających jest piękna krzyżatka „Wisła”; wytknęła wprawdzie łeb z nory, później wysunęła się cała, lecz widząc nadchodzących gości, szybko zrejterowała. Pozostał jedynie na zewnątrz jej wspaniały ogon i to ją zgubiło. Waydowicz nie uznał tej pozycji za właściwą wobec gości i zręcznym chwytem wyciągnął „Wisłę”, prezentując jej gęste futro, pokryte wzdłuż całego grzbietu lśniącym srebrem. Trudno, gdy się jest lisem przeznaczonym na kołnier, trzeba bez grymasów pokazywać wszystkie swe powaby od czubka nosa aż do końca ogona, tzw. kwiatu.

Najchmurniejszy jest zawsze „Bandyta”, ojciec kilkunastu pokoleń lisich, a więc dziadek lisiej fermy. Każde odwiedziny obcych wita syczeniem, ukazując wspaniały garnitur ostrych zębów. Nikt by nie przypuszczał, że ten tak groźny z pozoru okaz jest w rzeczywistości niezaradnym życiowo niedołęgą. Przed kilkoma miesiącami przegryzł siatkę ogrodzenia i wydostał się na wolność, ale po tygodniu sam wrócił i skruszony skromnie przywarował w kącie klatki. Nic dziwnego, wychował się w niewoli, w której pewnie już i jego przodkowie zatracili zdolność do samodzielnego życia.

Liczba lisów dochodzi w Liskowie do 600, a futra z tej fermy zdobyły już sobie sławę nie tylko w Polsce. Zdobią wystawy i futra w wielu krajach Europy.





A. Kwiatkowski z Ogniw zwycięzca klasy 350 ccm na próbie szybkości.

RAID WOLI I AMBICJI

MDLEJĄ z napięcia ręce na kierownicy. Bola naprężone mięśnie nóg zwartych na zbiorniku. Maszyna rzucona na boki przez kamienie oślizgłe od deszczu, tańcząca jak znarowiony koń na podmokłych podjazdach i stromych stokach, wymaga pełnego skupienia zawodnika. Prędej, prędej, bo drogocenny czas mija, a na punkcie kontrolnym trzeba być na czas. Za każdą minutę spóźnienia — punkt karny. Raid Tatrzański to nie spacer, to wielki wysiłek i poważny egzamin ludzi i maszyn.

550 km przejechane w ciągu 3 dni, to

niewiele dla motocyklisty jadącego poszose. Te same 550 km przejechane po górskich bezdrożach, to wielki wyczyn, do którego stanąć mogą tylko ci, którzy mają naprawdę duże doświadczenie i wysokie kwalifikacje.

X Jubileuszowy Raid Tatrzański zgromadził na starcie 138 zawodników raidowych, najlepszych motocyklistów z całego kraju, którzy stanęli do walki o Wielką Nagrodę Tatr. Ciężką, górską trasę i długie odcinki terenowe przebyli tylko najlepsi. Na mecie 3 dnia raidu znaleźli się zawodnicy, którzy przetrwali 3-dniowe zmagania, którym wy-

starczyło kondycji i woli na pokonanie trudności.

Dawniej w Raidach Tatrzańskich przejazd przez Głodówkę koło Bukowiny uważany był za najciężniejszy odcinek raidu. Dziś zawodnicy przebywali Głodówkę w nocy. To, co w zeszłym roku przejechano w ciągu dwóch dni, w tegorocznym raidzie było jednym etapem. Jasne, że wysiłek był w tym roku nieporównanie większy, gdyż większe były trudności, zarówno z uwagi na trasę, jak i na wysokie przeciętne wyznaczone przez organizatorów.

Srebrno-czerwone Jawy i czarne SHL, które stanowiły 70% maszyn w tym raidzie, śmigały jak kozice po górskich piargach i korzeniach. Na mecie najcięższego górskiego etapu, który w większości prowadził po ścieżkach i bezdrożach, a wynosił 240 km, zawodnicy byli zupełnie wyczerpani. Wielu nie wytrzymało trudów, wiele maszyn „wysiadło”. Ze 138 zawodników zostało zaledwie 60, a i ci w połowie byli tak spóźnieni na mecie, że raid kończyli poza konkursem.

Nie tylko tegoroczny raid tatrzański był jubileuszowy. Obchodzono również jubileusz 3 tysięcy km przejechanych przez zawodników w raidach tatrzańskich od chwili ich zorganizowania od 1937 roku.

Możemy być dumni z wysokiego poziomu, jaki wykazali nasi raidowcy w najcięższej imprezie tego typu w Europie. Żelazna kondycja i siła woli, wysoka technika jazdy i gruntowne przygotowanie sprzętu wystawiają im jak najlepsze świadectwo.

Raidy woli i ambicji — oto słuszną nazwą dla raidów tatrzańskich. Na pełne uznanie zasługują nie tylko ci, którzy zwycięsko raid ten ukończyli, ale wszyscy, którzy dojechali do mety w ostatnim dniu raidu, wymagającego tyle wysiłku.

KAZIMIERZ WOLFF

ZDJĘCIA: M. SEKO I Z. PERZYŃSKI



50 minut czasu mieli zawodnicy przed każdym etapem, by dokonać przeglądu maszyn. Należało to zrobić bardzo dokładnie, gdyż najmniejsze nawet usterki techniczne mogły być w skutkach bardzo nieprzyjemne na wielokilometrowej górskiej trasie.



S. Marusz, to nie tylko wspaniały narciarz, ale i świetny motocyklista.



— Dalej nie dam rady! — Nie wszyscy zawodnicy pokonali trudności raidu.



Przez strome zbocza, korzenie i piargi, strumienie i błoto, jechali zawodnicy w X Raidzie Tatrzańskim pozdrawiani serdecznie przez ludność na trasie zawodów.

SZTUKA I ŻYCIE



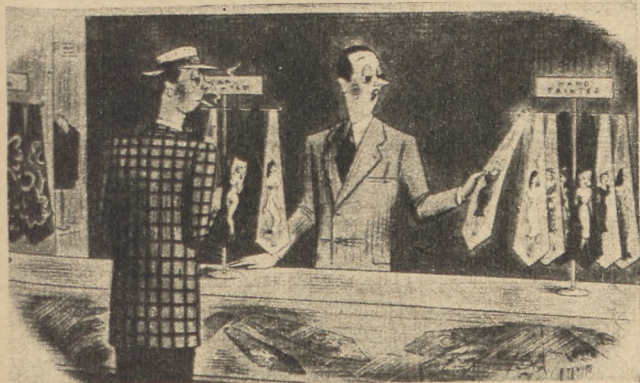
Słynny obraz znakomitego malarza amerykańskiego Wooda pt. „Córy rewolucji amerykańskiej” zawiera głęboką prawdę życiową. By się przekonać, że postacie z obrazu Wooda wciąż jeszcze chodzą po ziemi, wystarczy rzucić okiem na poniższe zdjęcie, przedstawiające trzy Ame-

rykanki, które na pokładzie statku „Constitution” przybyły ostatnio do Hiszpanii.

„Córy Amerykańskiej Rewolucji” — to skrajnie reakcyjna organizacja kobieca w Stanach Zjednoczonych, której członkinie szczycą się tym, że pochodzą rzekomo wszystkie od żołnierzy armii Waszyngtona.



SŁÓWKO O BIKINIARZACH



„Głos Ameryki” raczył się niedawno uzewnętrznic na temat „bikiniarzy”. Wszystko to — powiada — co piszą w Polsce o amerykańskim stylu życia, o dziwacznych ubiorach, krzyczących krawatach — to nieprawda. Nikt w Ameryce nie słyszał o niczym podobnym i niczego podobnego nie widział na oczy. Odpowiedź zechce sobie „Głos Ameryki” znaleźć w tygodniku „The New Yorker” z 2 sierpnia r.b. Numer można nabyć w każdym nowojorskim kiosku, a więc tuż pod nosem

obełgiwaczy z tamtejszego radia. Na str. 30 tego numeru znajda bardzo dobrą karykaturę, na której ujrzą klasyczny typ amerykańskiego „złotego młodzieńca”, czyli po naszemu „bikiniarza”. Właśnie trudni on się wyborem odpowiedniego krawatu do swego dystyngowanego ubioru. Sprzedawca prezentując ostatnie modele ozdobione mniej lub więcej odzianymi (lub rozdzielanymi) girlaskami, powiada doń: „A jeśli ma pan bardziej konserwatywny gust...”

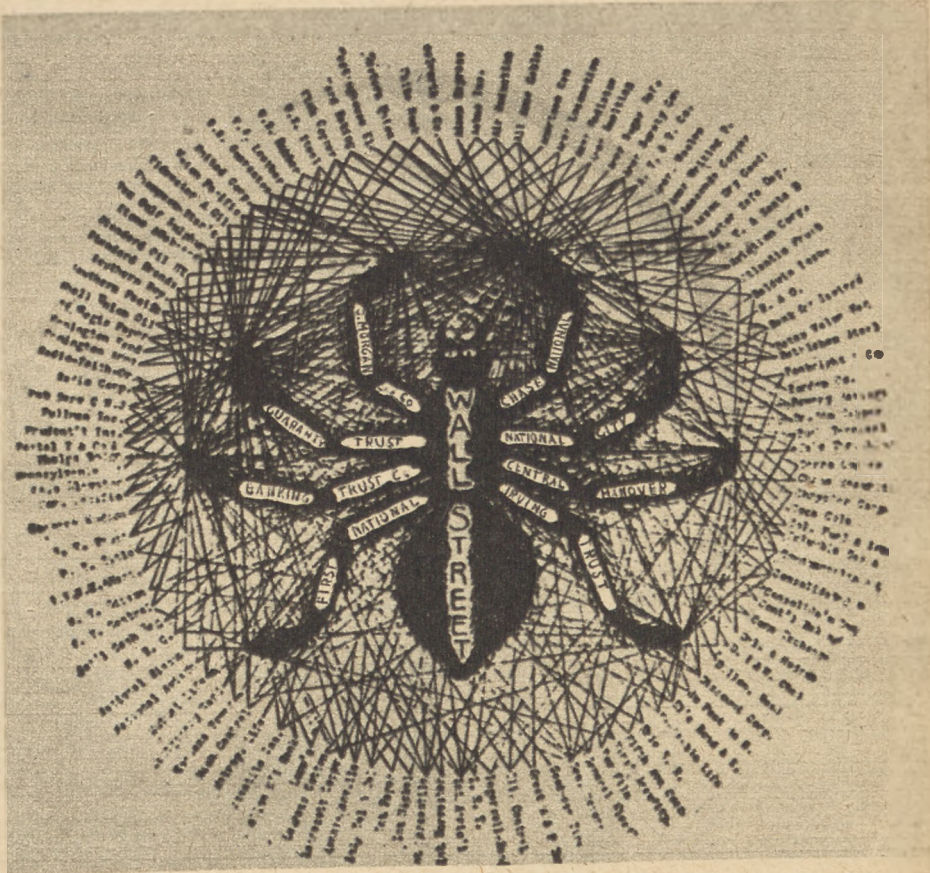


Tanec św. Wita? Nie, konkurs taneczny w Berlinie zachodnim. Wykonywany taniec — jitterbug z rodziny boogie-woogie

ONI WIEDZĄ LEPIEJ

Najbardziej wtajemniczony w sprawy Wall Street miesięcznik amerykański „Fortune” ogromnie się zaperzył, gdy — jak powiada — źle poinformowani marksiści nazwali walkę między Taftem a Eisenhowerem na konwencji Partii Republikańskiej „starciem pomiędzy finansjerą ze wschodnich stanów USA a ciężkim przemysłem ze stanów środkowo-zachodnich”. Wszystko to — krzyczy „Fortune” — jest nieprawdą! Było zupełnie inaczej. A jak? Cytujemy „Fortune”:

„To grupa przemysłowców — ciężkich i lekkich — ze wschodnich stanów zapewniła Taftowi zwarty blok „kapitalistycznych głosów” na konwencji. Ośrodkiem tego bloku była trzynastoosobowa delegacja ze stanu Pensylwania, kierowana przez członka Komitetu Krajowego Partii Demokratycznej G. Mason Owlett, który jest prezesem Stowarzyszenia Przemysłowców Pensylwańskich. Ale to nie znaczy jeszcze, że Taft korzystał z poparcia „koalicji ciężkiego przemysłu stanów środkowo-zachodnich z ciężkim przemysłem Pensylwanii”, ponieważ i od tej formuły było wiele wyjątków. Właśnie wśród szeregu koncernów pittsburskich (stan Pensylwania — przyp. nasz) Eisenhower miał licznych i oddanych zwolenników, jak np. A. W. Robertson i E. T. Weir, prezesów Rad Nadzor-



W SIECI WALL STREET

Rysunek powyższy sporządzony został własnoręcznie przez senatora USA, George W. Norrisa. Pajęczna sieć Wall Street, oplata całe życie gospodarcze Stanów Zjednoczonych. Za pośrednictwem wielkich banków (których nazwy wypisane są na nóżkach pająka) Wall Street trzęsie całym przemysłem i handlem Ameryki.

czych koncernów Westinghouse i National Steel. A ponadto wchodzi w grę sprawa General Motors i Forda... Nie wiemy dokładnie ilu delegatami dysponował na konwencji

Ford... ale zarówno Henry Ford II, jak i Harlow Curtis dumnie obnosili się po Chicago ze znaczkami „I like Ike” w klapie”. Nie będziemy się spieszyć. „Fortune” pewnie wie

lepiej, kto tu kogo popierał. W każdym razie o tym, czy ma być kandydatem Taft, czy Eisenhower, decydowali ci, co mają grube miliardy. A to jest przecież istotne...

UPIOREK NA WIDOWNI



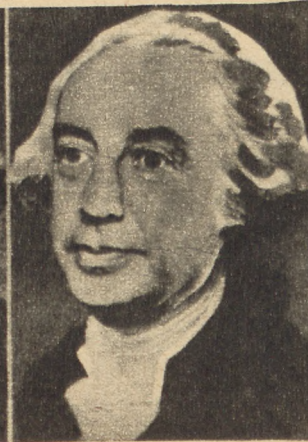
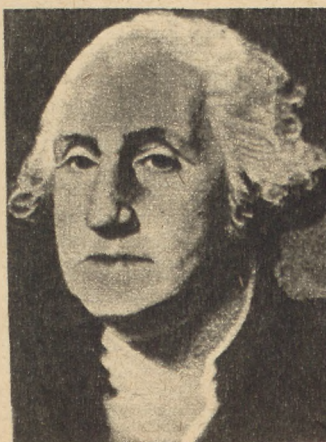
W zachodnich Niemczech wywołuje się już nie tylko upiory, ale i upiorki przeszłości. Po hitlerowcach przyszła kolej na monarchistów. I oto w Monachium odbyło się wielkie zgromadzenie zwolenników „arcyksięcia” Rupprechta, „legalnego” spadkobiercy bawarskiej korony Wittelsbachów. W słynnej „Hofbrauerkeller”, gdzie kiedyś zbierała się przy piwie szajka Adolfa Hitlera, tym razem zgromadziło się paruset piwoszów, wznoszących okrzyki „Niech żyje król!” na cześć mocno już zmurszałego „pretendenta”. Wspominano przy tym z leżką czasy, gdy pretendent był dużo młodszy i wyglądał tak, jak na zdjęciu z prawej strony (Kronprinz Rupprecht (X) i feldmarszałek Leopold Radowski).



JERZY WASZYNGTON NIE MOŻE SIĘ BRONIĆ!

W to, że „gdyby ciocia miała wasy, byłaby wujaszkiem”, wierzą tylko bardzo małe dzieci. Amerykańscy organizatorzy propagandy wyborczej uważają widocznie, że tamtejsi wyborcy są na poziomie właśnie małych dzieci, skoro stosują trick o party na formułę: „gdyby Adlai Stevenson miał perukę, byłby Jerzym Waszyngtonem”.

Tak właśnie reklamują kandydata Partii Demokratycznej jego zwolennicy, jak to widać na zdjęciach. Waszyngton nie ży-



je i nie może się bronić przed zestawieniem go z kombinatorem politycznym pokroju Harry S. Trumana.

W Miesiącu Budowy Warszawy uwaga nasza skupia się przede wszystkim na nowych, ukończonych budowach, kierując się ku niedalekiej już przyszłości, kiedy Stolica zapomni o swoich gruzach, zgłiszczach i zespecenieniach wojennych. To też w pamięci naszej dosyć szybko zaciera się obraz miasta sprzed 1939 roku, roku klęski wrześniowej. Nie powinniśmy jednak całkiem zapomnieć o tych czasach, w których rząd wyzysku, deklamując o Warszawie przyszłości, budował baraki na Annopolu i Żoliborzu, gdzie w jednej izbie gnieździło się 30 osób. Były w tych czasach hućne polowania, świetne rauty i bankiety, ale sytuacja ludzi pracy pogarszała się wręcz tragicznie. W numerze „Wieczoru Warszawskiego” z dn. 18 grudnia 1937 r. pod nagłówkiem „Na jedno łóżko wypada w Polsce po dwie osoby” znajdujemy sprawozdanie z obrad Kongresu mieszkaniowego, w którym czytamy m. in.:

„Sytuacja mieszkaniowa jest tragiczna, bowiem na jedno łóżko wypada w Polsce ponad dwie osoby. Trzy czwarte mieszkań w Polsce są jednoizbowe i na takie mieszkanie wypada przeciętnie 4 osoby. W Warszawie 23% ludności mieszka w rozpaczliwych warunkach, bowiem ponad 4 osoby wypada na jeden pokój. Liczne są wypadki zamieszkania jednej niedużej izby przez kilka rodzin. W tych warunkach mnożą się groźne choroby, szczególnie wśród sfer robotniczych”.

W dalszym ciągu sprawozdania, oprócz przeludnienia podkreślono kucharskie komorne w nowych domach, wskutek czego „mieszkania w tych domach są dla ludzi pracy niedostępne”.

Tak było. Jeśli chcemy mieć bardziej konkretne dane na ten temat, sięgniemy do oficjalnej statystyki Zarządu Miejskiego. Dowiemy się z niej m. in., że w ciągu trzech lat po I wojnie światowej wybudowano w Warszawie 1469 izb, to jest mniej więcej tyle, ile my budujemy obecnie w ciągu jednego miesiąca.

A oto inne, jakże wymowne, liczby:

W 1928 roku — w osiem lat po wojnie — oddano do użytku 4291 izb. W roku bieżącym — również w osiem lat po wojnie — w Stolicy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oddanych będzie do użytku 19.200 izb.

W Warszawie w roku 1939 — według Małego Rocznika Statystycznego — tylko 41% mieszkań miało kanalizację. Dziś — w domach nowych i w domach starych, odbudowanych — 95% mieszkań ma doprowadzone urządzenia wodociągowe.

Ogółem 61,4% ludności Stolicy w 1939 r. zajmowało mieszkania jedno i dwuizbowe.

Dla pełniejszego zrozumienia różnic, dzielących nasze dziś od czasów bezrobocia, bezdomności i nędzy, przytoczmy jeszcze statystykę ilustrującą nasz cały dorobek w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego:

W latach 1945 — 48 odbudowano i wybudowano 63 tys. izb. W 1949 roku — kiedy zakończono okres odbudowy — oddano do użytku 5 tys. nowych izb. W 1950 — 11 tys. W 1951 — 17 tys., a w 1952 przybędzie 19 tysięcy izb.

A w tych izbach — na MDM, Muranowie, Mirowie, Młynowie, czy Grochowie — mieszkają ludzie pracy, ludzie budujący swą Stolicę, socjalistyczną Stolicę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

„ŚWIAT”

czierpiemy ze świadomości potęgi sił stojących na straży pokoju, potęgi Kraju Rad, od którego uczymy się walczyć o socjalizm i pokój, i w walce tej zwyciężać.

Prosta i jasna jest myśl przewodnia Programu Wyborczego Frontu Narodowego. Mieści się ona w trzech słowach: rozkwit Ojczyzny, niepodległość, pokój. A każde z tych słów zawarte jest w wielkiej idei, której żywy kształt nadaje nasz naród w swej codziennej pracy — w idei socjalizmu. To ta idea właśnie pozwala nam już dziś dostrzec piękno dnia jutrzejszego. Pozwala nam ona ujrzyć oczami wyobraźni owoce wysiłku milionów Polaków, skupionych we Froncie Narodowym pod przewodnictwem Bolesława Bieruta. Pozwala nam ona ujrzyć już dziś Polskę w roku 1960, dziesiątki tysięcy wsi, w których zapłonie światło elektryczne, setki nowych zakładów przemysłowych, nowe miasta i osiedla, w których ludzie dzielą się chlebem i szczęściem. Patrząc na Plac Konstytucji — widzimy już dziś Warszawę w roku 1960 — odbudowaną i rozbudowaną socjalistyczną stolicę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Czytałeś, przyjacielu, Program Wyborczy i spojrzawszy na kalendarz. Wiem dlaczego. Niecierpliwisz się. Czekasz na dzień 26 października, na dzień, w którym pójdziesz oddać swój głos na kandydatów Frontu Narodowego, na swoich kandydatów, którym powierzysz prawo rządzenia krajem. Czekasz na ten dzień — ty i miliony takich, jak ty, budowniczych nowej Polski — by swoim udziałem w wyborach powiedzieć: chcę, aby Ojczyzna moja kwitła, aby była silna i niepodległa, aby rosła w pokoju, chcę pomóc w realizowaniu programu zwycięskiego jutra i dlatego głosuję na kandydatów Frontu Narodowego, na najlepszych synów ukochanej Ojczyzny.

Z WIĘNCEM DOŻYNKOWYM W KRAKOWIE

Dokończenie ze str. 3

kach przed chatami, astry, nogietki i georginie, splecione najczęściej z wiązkami zboża. Prezydent był wzruszony i przesuwający się pod trybunami korowód delegacji dożynkowych zdawał się wiedzieć, dlaczego.

Kraków, pamiętający jeszcze wesela bronowickie, gdy Bronowice nie były jak dziś zwykłym przedmieściem, zaskoczony był wielobarwnością pochodów dożynkowych, mnogością strojów, melodii i śpiewów. Jak lawina delegacje szły za delegacjami wiodąc własne kapele, zapamiętałe dudłace na skrzypcach i basetli w takt nadawany przez wiejski bębnek.

Powstały, wywołane okolicznością nowe melodie. Delegacja z gór Świętokrzyskich śpiewała:

„...oj, nowe gody dożynkowe,
lud zbratany z robotnikiem,
oj, da dana, da dana”.

Orkiestra przeważnie milczała, a z potokiem ludzi waliła właśnie obok Barbakanu pieśń ludowa w całym swoim bogactwie skocznych, to rzewnych melodii.

Przedwojenna walka o kęs chleba i najelementarniejsze prawo do życia zabijała na wsi nie tylko postęp, ale i tradycyjną kulturę ludową. Dziś kultura ta, pielęgnowana przez zespoły świetlicowe Związku Samopomocy Chłopskiej, rozkwitła z całym przepychem. Mogliśmy to stwierdzić również na stadionie Gwardii, gdzie po południu odbywały się popisy artystyczne. Nowe regiony polskiego folkloru — Warmia, Ziemia Lubuska, Opole — wniosły nieznane melodie i nieznane tańce, również stare regiony odszukały zapomniane piosenki i odtworzyły tańce zbiorowe, dawno już nie uprawiane. Na przykład połączony zespół z Szamotuł i Szczepankowa pokazał fascynujący „Weselny taniec z batami”.

Ale coroczne dożynki nie zamykają się w tradycyjnym obchodzie zakończenia zbiorów i nie miały tego tylko charakteru dożynki krakowskie. Na Błoniach zorganizowano dwie wystawy gospodarcze. Na pierwszej z nich mogli rolnicy zobaczyć najnowsze kombajny, maszyny do rozrzucań nawozu, małe traktory do robót w ogrodach i wiele nieznanych urządzeń technicznych, stosowanych głównie w gospodarstwach uspołecznionych. Gdy jedni przyglądali się występowi zespołów artystycznych, drudzy uważnie oglądali tę właśnie wystawę nawet wtedy, gdy spadł deszcz.

Druga wystawa, fotograficzna, obrazowała dorobek wsi spółdzielczych i gromadziła głównie tych, którzy pragnęli zorganizować nowe zespoły rolnicze. Mieli tu możliwość zaznajomienia się z osiągnięciami spółdzielczej hodowli, budownictwa, uprawy rzadszych roślin. Nierzadko słyszało się całe dyskusje, a wszyscy interesowali się, w jakich wsiach i z jakimi rezultatami rozwijała się nowa gospodarka rolna.

Zwiedzający obie wystawy trzymali w rękach walizki i już zwykle wprost z Błoni udawali się na pociąg. Przed wyjazdem ostatnią jeszcze chwilę wykorzystali na to właśnie, aby zobaczyć ku czemu idzie rolnictwo w całej Polsce.

Powracające do swych stron dożynkowe delegacje chłopów odprowadzały grupy krakowskich robotników i górników z Zagłębia. Zewsząd, już z pełnej nocy, rozbrzmiewały niewidoczne w ciemności kapele, śpiewy i okrzyki pożegnania.

— Trzymajmy się kupy! — wołali z okien wagonów odjeżdżający. Pozostali na peronie robotnicy i górnicy w odpowiedzi wznosili do góry ręce ze splecionymi dłońmi.

Ten gest jakże wymownie ilustrował słowa Prezydenta Bieruta, które zapamiętał z przemówienia każdy: „Nigdy jeszcze w swych dziejach naród polski nie był tak zjednoczony i scementowany, jak jest dziś w okresie władzy ludu pracującego, w okresie budownictwa nowego swego życia, nowego ustroju sprawiedliwości społecznej”.

TADEUSZ SARNECKI

W SZKLARSKIEJ POREBIE

(Z NOTATNIKA POETYCKIEGO)

Po PRAWIEJ pasmo Gór Izerskich zasnuła chmurą, po lewej świecą się szczyty Karkonoszy.

Granice dnia i nocy wyznacza błyskawica. Nad Izerskimi pada deszcz, leje strugami, sączy się spomiędzy skał, dzwoni tysiącami strumieni.

Na Karkonoszach — dzień. Las zalany światłem. Szeleści jedwabista zielon śródlęsnych pastwisk. Tu przed wiekami trudzili się pierwsi polscy hutnicy: wycinali sosny, karczowali las, wypalali drzewo — na węgiel. Wiją się ścieżki wśród głazów. Może tedy szli o świcie, może w skalach tych zastygł ślad ich bosych stóp, pierwszych wyrobników-proletariuszy. Za nimi szła huta. Przesuwała się z poręby na porębę, ze zbocza na zbocze, ze szczytu na szczyt.

Tak dzieje tej ziemi sprzęgły się z dziejami człowieka. Erozja rzek i ludzkie narzędzie pracy wyrzeźbiły rysy krajobrazu.

Na porębie dzwoni — długo, przeciągle, zapraszająco. Czas na posiłek! Dzieciące twarzyczki wycierają zza krzaków malin. Zakręt Śmierci? Nie. To tylko nazwa ostrzegawcza dla zbyt pewnych siebie kierowców. Lecz tu chodzi o życie. Bieleją sanatoria nad urwiskiem.



Dzieci myją ręce w górskim strumyku, a woda szybka, zgiełkliwa, pełna szmerów i głosów — też dokądś spieszy.

Zmierzch zapada. Owce schodzą z pastwisk. Olbrzymi baran zaplątał się w łańcuchu. Stanął jak wryty. Starczy garść soczystej trawy, by się udobruchał. A gdzie pasterka?

Dziękuję nam zażenowana. Niesforny baran! Goni i jeszcze stado za sobą porzyca. A ona przejechała się losami Pawła Korczagina. Zetempówka. Marzy o wzorowej zetempowskiej fermie. A owiec w postuszeństwie nie potrafisz utrzymać! Ech, ślicznotko!

Pamiętam skądś tę twarzyczkę, zwiastującą warkocze koloru lnu. Skrzydełka, trochę „ni przypięt, ni przylat”, wyrosłały jej w ramion. Czy to nie anioł pozował Vlastimilowi Hoffmanowi do obrazu wywieszonego u wejścia do ostatniej willi u stóp mitycznego Karkonosza?...

Szumi chojniak nad Porębą, kruszeją skały, a już cisza w uszach dzwoni, że styszysz, zda się, jak grzyb wyrasta.

Wodospad Szklarski wysoko leje się i sączy, trwoniąc prawdziwe srebro. Nad nim w skale wyżłobiona twarz. Opowiadają, że to księżna ukarana przez obrażonego kochanka. Oczy ma zawiązane. Czyżby się broniła przed naporem żywiołowego, oszalamiającego piękna?

Dwaj studenci sprzeczą się: Czy dzieło przyrody może być dziełem sztuki...

I bujnie tu wokół. Pierwotna, nieokielznana roślinność, jak na obrazach śląskiego artysty-górnika, Ocieplki.

Śnieżne Kotły po brzegi wypełnione mgłą. Na krawędzi kwiat wyrasta. Jaką nadać mu nazwę? Nie mają dlań jeszcze



imienia — ni uczeni, ni ludzie strzegący rezerwatu. Kwiat bez nazwy, z epoki lodowcowej, niepowtarzalny jak wiersz prawdziwy, jak ludzkie wzruszenie. Nazwijmy go kwiatem nadziei.

Uśmiecha się uczony botanik i jego asystentka. Nawet wopista na posterunku. Bo jakże inaczej! Ci, którzy nadali nazwy miastom i osiedlom, świetlicom i sanatoriom — jak im nie znaleźć imienia dla prostego kwiatka?...

ARNOLD SŁUCKI

LENGREN





TANIO i ŁADNIE



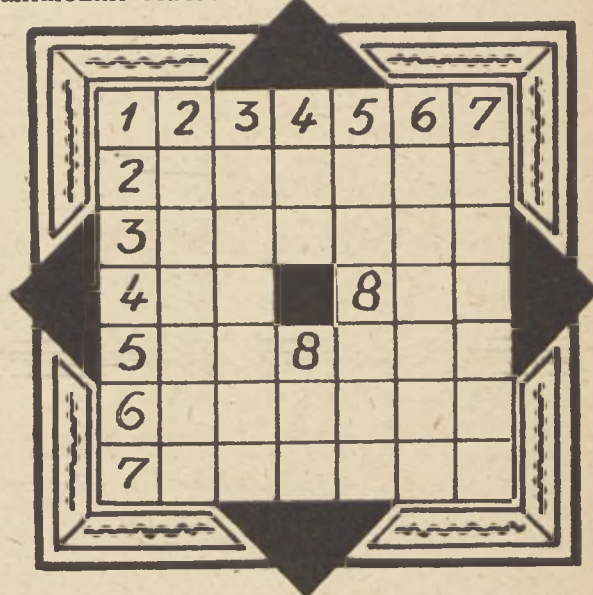
Model u góry, to komplet — kostium i płaszcz uszyte z tej samej welny w drobną kratkę. Płaszcz jest reglanowy, z luźnym rękawem zakończonym szerokim mankietem. Dość duży kołnierz, kieszenie na wierzchu i patka z tyłu. Kostium pod płaszcz powinien mieć charakter sportowy. Spódnica wąska z szerokim zakładem z boku.

Model drugi, to płaszcz jesienny, bardzo luźny, reglanowy, również z szerokim rękawem — tym razem jednak wykończonym wąskim, dość wysokim mankietem.

Model trzeci, to suknia welniana z półkrótkim kimonowym rękawem. Suknia ma krój dwurzędowy, z szerokim zakładem. Zapięcie jest kryte, a cztery duże guziki to tylko ozdoba. Całość uzupełnia lakierowany pasek o oryginalnej skośnej linii.

ROZRYWKI UMYŚŁOWE

MAGICZNA FIGURA



Do podanej figury wpisać 8 wyrazów o poniższych znaczeniach tak, aby można je czytać jednakowo poziomo i pionowo.

Znaczenie wyrazów: 1) Ssak drapieżny z rodziny kun, 2) Uratowano, wybawiono, 3) Naczynie kuchenne w kształcie dużego garnka z uchami (zdrobniale), 4) Zdrobniale imię żeńskie, 5) Okręt do obrony wybrzeża, 6) Barometr metalowy, 7) Fantazyjnie związana wstążka, 8) Zdrobniale imię żeńskie.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 29 (52)

LOGOGRYF: Letnia Olimpiada w Helsinkach (koledzy, fregata, Bawia, München, epitety, szablon, wiorsta, halniak, Dziwnów, Damskie, wyprawa, uciecha, plachta).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 52 nagrody książkowe otrzymują:

1) Olga Andrzejowska — Warszawa, ul. Raszyńska 56, 2) Jan Bereśnicki — Poznań, ul. Miodowa 25, 3) Anna Boron — Sopot, ul. Chopina 40, 4) T. Broekere — Poznań, ul. Matejki 51, 5) Edmund Cieślak

— Poznań, ul. Opalenicka 34, 6) Władysław Dobrzański — Nowy Sącz, skr. poczt. 43, 7) Elżbieta Dziulikowska — Wrocław, ul. Skłodowskiej 46, 8) Jerzy Freudenheim — Bochnia, ul. Oracka 6, 9) Józef Kirkor — Sopot, ul. Wybickiego 31, 10) Maria Korzeniowska — Opole, ul. Dzierżonka 1, 11) Robert Labryga — Chorzów, ul. Dzierżyńskiego 75, 12) Irena Lange — Poznań, ul. Gwardii Ludowej 56, 13) Barbara Makomaska — Warszawa, ul. Słupecka 4.

14) Alicja Modzelewska — Komorów, p-ta Pruszków, 15) Janina Prawdź — Szczecin, ul. zwirki i Wigury 7, 16) Maksymilian Rogowski — Wiskitki k/Zyrardowa, pl. Wolności 15, 17) Józef Sme-terling — Olsztyn, ul. Gietkowska 1, 18) Wincenty Słowa — Chorzów, ul. Bellojannisa 47, 19) Julian Warzecha — Orlowice, p-ta Świeradów-Zdrój, 20) Marian Wojsławski — w. Drodzy, pow. Grójec. Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 31 (54)

SZYFROGRAM: Masowy ruch współzawodnictwa pracy to jeden z zasadniczych warunków wykonania Planu Sześcioletniego (wspólnik, anegdota, ustronie, iniekcja, sześcian, wyznawca, podmuchy, szponder, zuchwały, wytwórca, zawalono).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 54 nagrody książkowe otrzymują:

1) S. Czarnecki — Ziębice, ul. Kościelna 6, 2) S. Filipek — Kraków, ul. Fabryczna 15,

3) B. Grabarczyk — Łódź, ul. Rzgowska 80, 4) M. Hamela — Gdańsk, ul. Podhalańska 4, 5) I. Herdach — Milicz, ul. Nowotki 22, 6) J. Jaśkowiak — Bydgoszcz, ul. Siemiradzkiego 4, 7) D. Kaczorowska — Legnica, Rynek 1, 8) A. Korczyński — Katowice, ul. Zajazcka 4, 9) S. Lembas — Ofic. Szk. Mar. Woj., 10) E. Messner — Gdańsk, ul. Partyzantów 9, 11) K. Muchowicz — Tarnów, ul. Rejtana 12, 12) D. Niemcowa — Bielsko, ul. Zielona 10, 13) E. Stefanek

— Zary, ul. Czerwonego Krzyża 9, 14) J. Stefaniuk — Stargard, ul. Bieruta 23, 15) T. Stell — Łódź, ul. Wólczańska 66, 16) M. Szczepańska — Opole, ul. Drzymały 7, 17) T. Tomaszewski — Gdańsk, ul. Zawiejska 14c, 18) W. Tylczyński — Kowary-Nowe Osiedle, blok 52, 19) C. Zamiński — Otarów, ul. Poznańska 27, 20) A. Zarebski — Sosnowiec, ul. Fabryczna 16. Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

MECZ SZACHOWY „ŚWIAT-CZYTELNICY”

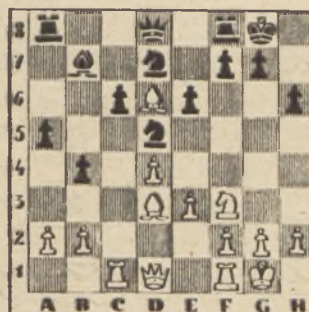
W przeciwieństwie do kilku poprzednich posunięć, odpowiedzi Czytelników na 15 ruch Redakcji wyróżniały się stosunkowo dużą zgodnością. Tak w partii W1 na posu-

nięcie Ge7:d6 głosowało 63,9% Czytelników. Znacznie mniej głosów uzyskały Gb7—a6 oraz Hd8—b6. W partii W20 przeszło Se6—c5 (30,6% głosów), przed g7—g6 i f7—f6. Wreszcie w partii W21 po-

suniecie Se8—g7 otrzymało 89,2% głosów; reszta padła na Sc6:e5.

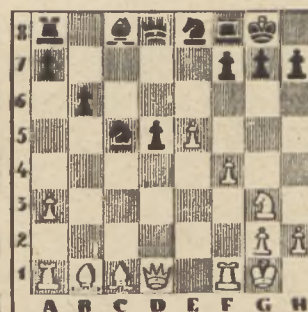
Po uwzględnieniu kolejnego posunięcia Redakcji trzy nasze partie wyglądają następująco:

PARTIA W1



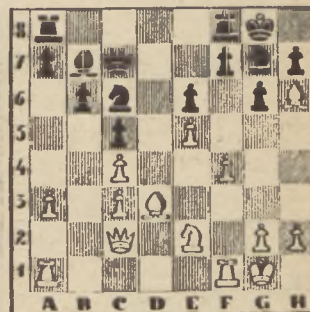
13. 0—0 b5—b4
14. Sc3—e4 a7—a5
15. Se4—d6 Ge7:d6
16. Gg3:d6

PARTIA W20



13. c3:d4 Sc6:d4
14. 0—0 Sd4—e6
15. f2—f4 Se6—c5
16. Gd3—b1

PARTIA W21



13. Gc1—f4 Hd8—c7
14. Hd1—c2 g7—g6
15. Gf4—h6 Se8—g7
16. f2—f4

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69, Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata miesięczna zł 4.—, — kwartalna zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna 48.—. Zakłady Wkleśludrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” — Warszawa, Okopowa 58/72. Zam. 526. Pap. rotogr. V/82 cm. 3-B-17694



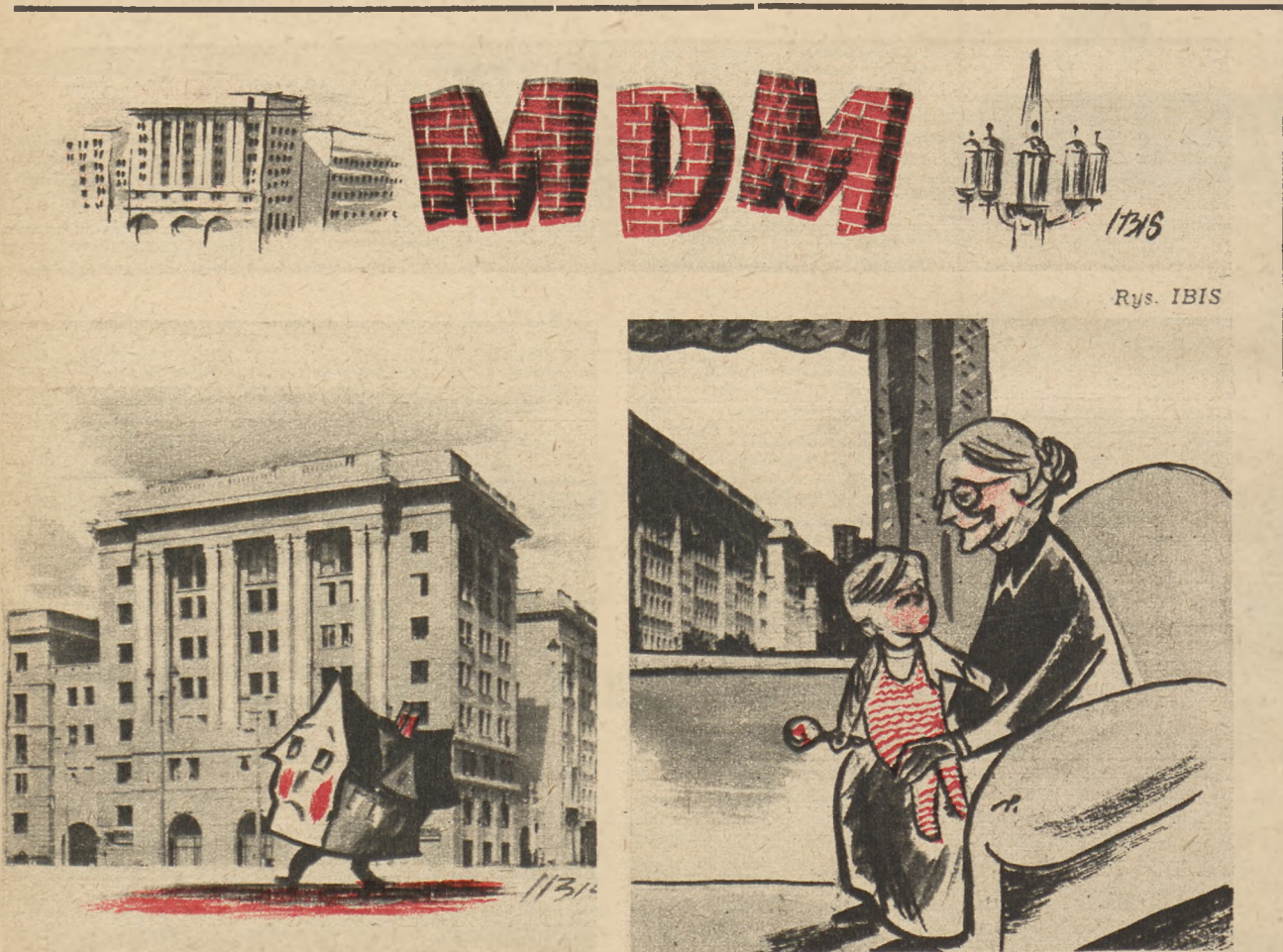
Rys. K. Ferster

Wyślemy go do akcji wyborczej w Polsce...

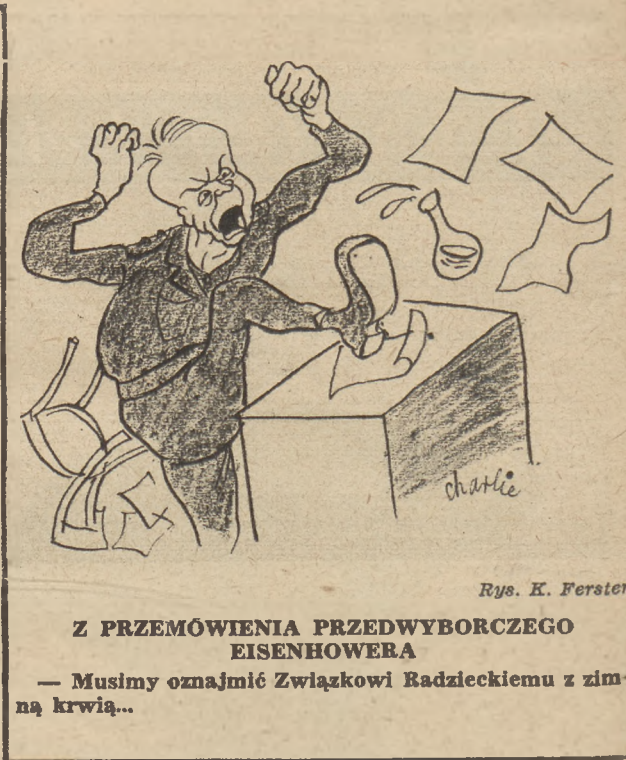


Rys. K. Ferster

— Ten numer nie przejdzie!...



Rys. IBIS



Rys. K. Ferster

**Z PRZEMÓWIENIA PRZEDWYBORCZEGO
EISENHOWERA**

— Musimy oznajmić Związкови Radzieckiemu z zimną krwią...

— Mój Boże, gdybym urodził się w dzisiejszych czasach!

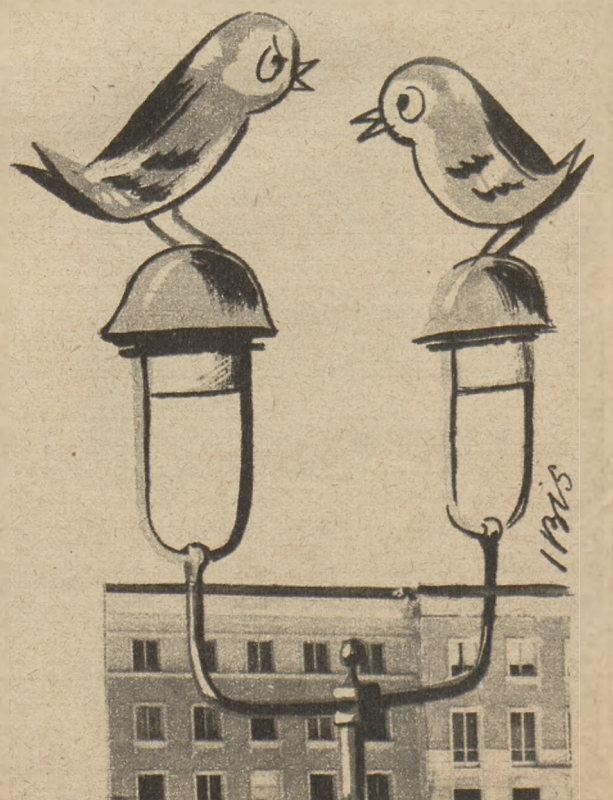
— Było to dawno, bardzo dawno, kiedy jeszcze nie było MDM-u...



Wieczór nad MDM



— Jak będziesz grzeczny to w przyszłą niedzielę znów przyjdziemy na MDM



— Jeżeli nie uzyskasz przydziału gniazdka na MDM-ie, biorę z tobą rozwód